MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 10 WARSZAWA, 6 MARCA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLITYKA NARODOWA A SPOŁECZNE WSKAZANIA ENCYKLIK

Z POWODU DEKRETÓW PIERWSZEGO POLSKIEGO SYNODU PLENARNEGO

OGŁOSZONE codopiero uchwały Pierwszego Polskiego Synodu powszechnego, nie ograniczające się do spraw kościelno administracyjnych, ale formułujące krótko, lecz jasno pewne zasady życia społecznego i politycznego *ad usum* Polski, nakładają obowiązek wszystkim ludziom u nas mającym jakiś głos w sprawach publicznych rozpatrzenia swych przekonań polityczno-ustrojowych i swej działalności publicznej w świetle tych uchwał. Dla przekonanych katolików będzie to obowiązek prosty i naturalny, dla innych może prosta konieczność, od której woleliby się uchylić, gdyż stanowisko nieokreślone może być dla nich wygodniejsze pod względem taktycznym. Dla tych, którym dobro narodu polskiego na sercu leży, co kochają jego przeszłość, jego duchową istotę, co wierzą w jej treść bogatą i szlachetną, w jej wielkie na przyszłość możliwości twórcze, co nie boją się polskiej duszy, lecz pewnych obcych na nią wpływów, dla tych wszystkich narodowców polskich, których „obóz" obejmuje cały niemal naród, głos Kościoła, a w szczególności każde odezwanie się polskiego Episkopatu jest głosem własnego serca i objawieniem własnej duszy. Tem bowiem charakteryzuje się tradycja narodowa polska i uświadomienie narodowe polskie, że stanowi jedność z uczuciem i przekonaniem religijnym, chrześcijańsko-katolickim. „Mędrca szkiełko i oko" nie dopatrzy tych tajemnych powiązań, przeto teoretyczne dyskusje i rozważania nie wiele tu wyjaśnić mogą; kto z serca jest i nie boi się być katolikiem, kto nie boi się być czynnym Polakiem, ten czuje je w sobie i wie, że Kościół w Polsce to nie „potencja obca", lecz stróż duszy narodowej, współtwórca jej przeszłej wielkości i przyszłych przeznaczeń; temsamem wie, że świadomość narodowa Polska nie zagraża w niczym katolicyzmowi w Polsce, bo z nim razem poczęła się i rosła, bez niego rozpadłaby się i rozwiała na wichrze współczesnej burzy. Jako świadomi Polacy nie boimy się uchybić narodowi słuchając i rozważając wskazówki Kościoła, ani nie boimy się uchybić Kościołowi i wierze, pielęgnując odrębność narodowej kultury i biorąc czynny i jawny udział w życiu politycznym Narodu.

Zresztą takie negatywne określenie jest słabe; owszem przekonani jesteśmy pozytywnie, że prostując i pogłębiając nasze polityczne przekonania i dążenia w świetle wskazówek i nauki Kościoła, a polskiego Episkopatu w szczególności, najlepiej służyć zdołamy wielkości narodu polskiego, że, uświadamiając sobie istotę narodowej kultury, żyjąc nią, walcząc o nią, że bojując o reformę życia politycznego w Polsce, o zachowanie prawnych podstaw życia społecznego, o słuszne interesy Polski w Europie, działamy pośrednio dla dobra katolicyzmu, zmagającego się tak ciężko z nienawiścią reformatorów opętanych pychą i społeczeństw obałamuconych, lub steroryzowanych. Potępienie „państwa totalnego" przez Kościół niczym nie uraża poczucia polskiego; przeciwnie będzie pomocą dla tych, co szukają dla Polski ustroju odpowiadającego jej duchowi.

Określenie to, „państwo totalne", jakkolwiek nie naukowe, gdyż stworzone było przez faszyzm dla celów politycznych, a nie dla ścisłego ujęcia jakiejś idei, jest nie tylko dziś powszechnie przyjęte i dla każdego zrozumiałe, lecz jest wcale ścisłe; „*lo stato totalitario*" to państwo obejmujące całe życie ludzkie prywatne i publiczne, duchowe i materialne i nie znające w sposobach i zakresie swej ingerencji żadnych granic, nawet granicy własnego prawodawstwa. W dodatku z praktyki wiemy, że jest to państwo „monopartyjne" czyli

ustanawiające zamiast panowania prawa („*the rule of law*", jak mówią Anglicy) panowanie oligarchii, uniezależnionej od opinii i woli narodu. Dekrety Synodu polskiego w rozdziale VI-tym dekrecie 70, paragraf 3, krótko i jasno ujmują sprawę państwa totalnego; list Prymasa Polski „O chrześcijańskich zasadach życia państwowego" dawno już i dobitnie ją omówił. Nikt więc w Polsce nie ma prawa twierdzić, iż nie wie dokładnie o co tu chodzi i o czem mowa. [1]) Pius XI zaś napisał w Encyklice „*Quadragesimo Anno*" co następuje: „..niewzruszoną pozostanie najwyższa zasada filozofii społecznej, której ani osłabiać, ani podważać nie wolno: jak jednostkom ludzkim nie wolno odejmować i społeczności przekazywać tego, co jednostki te z własnej inicjatywy i własną mogą wytworzyć pracą, tak samo jest naruszeniem sprawiedliwości, gdy się to, co mniejsze i niższe społeczności wykonać i dokonać mogą, przydzieli większym i wyższym władzom społecznym". Ta autonomia niższych organów społecznych, której rzecznikiem jest Pius XI jest gwarancją przeciw totalistycznym zwyrodnieniem państwa i dlatego właśnie Ojciec Św. uważa ją za konieczną. Dla naszego instynktu narodowego są to rzeczy bliskie i zrozumiałe, gdyż my właśnie jako Polacy rozumiemy państwo narodowe, jako formę prawną obywatelskiej współpracy wszystkich członków narodu; nasz instynkt i nasza historyczna tradycja każą nam sądzić, że o państwie narodowym można poważnie mówić dopiero w kraju, gdzie, naród w większości swej przynajmniej przeszedł już ewolucję, dzieląca „poddanego" od wolnego i czynnego, obywatela. Nie jest przecież przypadkiem tylko, że obudzenie narodów Europejskich nastąpiło niedługo po Wielkiej Rewolucji, w epoce organizowania się państw na zasadach wolności obywatelskich. Nie wynika stąd, by idee przez nią głoszone powinny być stosowane bezwzględnie i doktrynersko, by liberalizm absolutny nas obowiązywał, jako narodowców; przeciwnie wierzymy, że nie na mocy „kontraktu", lecz na mocy prawa Bożego objawiającego się w naturze i w duchu ludzkim jesteśmy sprzęgnięci w społeczeństwa, w których czynnikiem wiążącym jest „miłość" objawiona w Chrześćjaństwie; że ta miłość każdemu wyznacza miejsce, gdzie może i powinien karnie, ale swobodnie pracować dla własnego i wspólnego dobra.

Idea polityczno-społeczna narodu wymaga hierarchii społecznej, zamiast rozbicia społeczeństwa na proch teoretycznie równych i niezależnych jednostek. Ale hierarchia ta nie ma w sobie nic wojskowego; nie jest też sztuczną formacją, w której każdy, komu udało się wspiąć na wyższy szczebel organizacji, staje się nagle półbogiem, nie znającym ograniczenia swych zachcianek i swej pychy, którego wola ma zastąpić prawo. Hierarchia prawdziwa w narodzie, to naturalny wynik podziału i zorganizowania społecznych funkcji, uzależnienie konieczne niższych i uszanowanie ogółu obywateli dla ludzi dźwigających najwyższe odpowiedzialności, reprezentujących kulturę i tradycję historyczną narodu, czy jego przedsiębiorczość i bogactwo, czy jego życie duchowe i umysłowe. Są to uczucia naturalne, których nikomu gwałtem, ani terorem nie potrzeba narzucać, jeżeli ich się wpierw nie zachwiało i nie podkopało w umysłach i sercach narodu. Niewątpliwie taki ideał państwa narodowego wymaga więcej czasu dla swego urzeczywistnienia — jeżeli trzeba po przewrotach politycznych czy ideowych odbudowywać z gruzów całość narodową — aniżeli ideał koszulowego totalizmu. Wielkie dzieła natury czy ducha nie znają jednak pośpiechu gorączkowego; wymagają raczej stałej i niezmiennej energii wewnętrznej, której wysiłek widzi się tylko po wynikach. S k u t k i j e d n a k t e g o w y s i ł k u b ę d ą n i e w ą t p l i w i e l e p s z e i t r w a l s z e; n i e n a r a ż ą n a r o d u n a w s t r z ą s y z e w n ę t r z n e i w e w n ę t r z n e, n a b u n t y i n i e k o ń c z ą c e s i ę p r z e w r o t y.

*

Nie tylko jednak w dziedzinie idei ustrojowych najogólniejszych wskazówki Kościoła pogłębiać i dopełniać powinny program narodowego państwa polskiego. Taksamo możemy z nich korzystać w dziedzinie ściśle społecznej, oraz w dziedzinie stosunków wzajemnych władz i organizacji politycznych z władzami i organizacjami kościelnymi i religijnymi.

Przede wszystkim co do wskazówek społecznych znajdujemy trzy zasadnicze wskazania w Encyklikach Leona XIII i Piusa XI.

1. Uznanie własności prywatnej za n i e n a r u s z a l n ą podstawę porządku społecznego.

2, wezwanie do zorganizowania pracy gospodarczej w zawodowych korporacjach, które powinny wnieść chrześcijańskiego ducha do życia zawodowego i do stosunków między pracodawcami i pracobiorcami, a tym ostatnim zwłaszcza ułatwić obronę swych słusznych praw.

3. Wskazanie na konieczność utrzymania hierarchii społecznej wbrew doktrynom egalitaryzmu, bez zaniedbania opieki nad klasami fizycznie pracującymi i nie posiadającymi materialnego zabezpieczenia.

Jasną jest rzeczą, że każde z tych zagadnień wymaga nie tylko wszechstronnego przemyślenia teoretycznego, lecz, przy zastosowaniu choćby np. organizanizacji korporacyjnych, lub opieki społecznej w jakichś nowych formach, wymaga głębokiej praktycznej znajomości i uwzględnienia terenu politycznego, społecznego i gospodarczego oraz psychiki każdego społeczeństwa. Tu właśnie byłoby szerokie i wdzięczne pole dla studiów, obserwacji i rozważań pisarzy politycznych i społecznych w obozie narodowym, celem przygotowania materiału dla przyszłych ustawodawców, czy organizatorów. Koniecznem jest też rozpowszechnienie w społeczeństwie jasnych i objektywnych poglądów na te sprawy i n a s t o s u n e k i c h d o i n t e r e s ó w n a r o d o w y c h w e w s z y s t k i c h d z i e d z i n a c h.

Brak rzeczowości i znajomości zagadnień społecznych jest u nas uderzający. To też szerzą się nieraz zapatrywania i panują w praktyce stosunki, urągające interesom gospodarczym i kulturalnym, a nawet wprost politycznym narodu. Nikt nie zastąpi narodowców w tej przygotowawczej pracy oświatowej. Organizacje społeczno-katolickie mogą

---

[1]) Wynikałoby np. z 1-szej części artykułu p. St. Kozickiego w „Myśli Narodowej" z 9.I.38 pod tytułem. „O Państwo Narodowe", że autor uważa pojęcie państwa totalnego za coś bliżej nieokreślonego.

w pewnej mierze przysposobić umysły, jeżeli zabiorą się do zapoznania dokładnego swych członków z treścią Encyklik społecznych. Pomijając jednak fakt, że dotąd więcej znajdujemy w społecznych publikacjach organizacji katolickich w Polsce osobistych zapatrywań autorów, aniżeli ścisłych rozważań nad naukami Encyklik, trzeba zdać sobie sprawę jasno z tego, iż Akcja Katolicka nie może zastąpić ideowej pracy obozu narodowego, gdyż nie jest ona grupą polityczną, ani tem mniej stronnictwem; nie ponosi więc odpowiedzialności pełnej wobec opinii publicznej i nie może brać pełnego udziału, w toczących się dyskusjach. Wynika to z samej natury rzeczy, gdy chodzi o jej udział w działalności społecznej i w propagandzie na rzecz takich, czy innych form, czy reform społecznych. Przede wszystkim, gdy tylko wyjdzie się po za nauczanie tych ogólnych zasad, które są wypowiedziane w Encyklikach społecznych, a zaczyna się snuć plany i pomysły tyczące jednego konkretnego wypadku, lub stosunków w pewnym kraju, w tej chwili zagadnienia społeczne zazębiają się tak ściśle o sprawy polityczne i techniczno-gospodarcze, co gorzej o polityczne dążenia, ambicje, taktykę grup politycznych w danym społeczeństwie, że jest zupełnym niepodobieństwem jedno od drugiego odgrodzić i rozplątać. Widzimy zaś odrazu, że z tego wynika położenie, które w konkretnych dyskusjach polityczno-społecznych i walkach jest nie do przyjęcia. Oto przedstawiciele Akcji Katolickiej angażować mogliby autorytet Kościoła w sprawy bieżące polityki i walk społecznych, nieraz w interesy wprost klasowe; jednocześnie stawialiby oponentów w takie położenie, jakoby byli przeciwnikami, nie takiego, czy innego sposobu załatwienia danych konkretnych zagadnień, i nie dążeń politycznych i klasowych pewnych grup, lecz przeciwnikami nauk społecznych Kościoła.

Ponieważ rzeczą jest oczywistą, że nikt nie pozwoli potulnie na narzucenie sobie takiego skrępowania swobody dyskusji na równej stopie, tam gdzie chodzi o zagadnienia życia i interesy narodu, a nie o dogmaty, lub katolickie zasady moralne, wchodzenie Akcji Katolickiej na teren konkretnych społeczno-politycznych kontrowersji może przynieść tylko zaognienie dyskusji zamiast pożądanego wyjaśnienia podstawowych zasad, i złagodzenia społecznych walk, będącego według wskazówek Piusa XI jednem z jej zadań i obowiązków.

Kierownicy Akcji Katolickiej w Polsce, tak dobrze to zrozumieli, iż wstrzymywali się i wstrzymywali swe organizacje od jakichkolwiek wystąpień, mogących mieć cień pozoru, iż mają pobudki polityczne nawet w takich wypadkach i okolicznościach, gdzie chodziło o obronę podstawowych zasad sprawiedliwości i wolności ludzkiej w Polsce, kiedy społeczeństwo mimowoli zwracało oczy na organizacje katolickie i było bądź jak bądź zaskoczone boleśnie panującym tam głuchym milczeniem. Jeżeli taktyka tak ostrożna została wówczas przyjęta, to o ile bardziej jest ona teraz wskazana, gdy w grę wchodzą sprawy związane z interesami klasowemi i budzące namiętności partyjne. Pisząc o nich lub mówiąc, każdy ma swoje sympatie i antypatie, nawet w politycznym neutraliźmie starannie wychowany członek Akcji Katolickiej i wtedy dzieje się niestety, że się cytuje urywki ze zdań Encyklik, systematycznie pomijając inne ustępy; dzieje się, że nikt właściwie w Polsce nie usiłuje rozpatrywać systematycznie, choćby w skróceniu, treści Encyklik. Czy np. mówi się katolikom o tem, że słynna Encyklika „*Rerum Novarum*", chociaż kwestii robotniczej poświęcona, zawiera najsilniejszą jaką przeczytać można obronę prywatnej własności i jej nietykalności ze strony państwa?

Nie wdając się tu w szczegółowe polemiki, stwierdźmy zatem, iż w Polsce znajdujemy się w tem położeniu szczególnie szczęśliwem, iż wyznawcy przekonań narodowych mogą przyjąć w pełni wskazania Kościoła, tyczące zasad moralnych życia społecznego i publicznego, a nawet z natury rzeczy przyjąć je muszą, ponieważ są narodowcami w narodzie katolickim, gdzie przekonania religijne chrześcijańskie i wiara szczególniejszy zawsze wpływ miała na poczynania polityczne i na rozwój rodzimej kultury.

Totalistyczne próby w Polsce robił już kto inny i wypadły one tak, że naród w swej ogromnej większości jest już chyba wyleczony z illuzji na tym punkcie; nie ma więc tutaj pola do konfliktu z zasadami katolickimi; przeciwnie, jest sposobność i miejsce na ustalenie pojęć o państwie naprawdę narodowym, chrześcijańskim. W dziedzinie społecznej, stanowiącej przecież organiczną jedność z innymi działami organizacji politycznej, wskazania Encyklik rozjaśnią drogi narodowej myśli, która powołana jest do tego, aby wskazania te objektywnie badać ze stanowiska dobra i normalnego rozwoju narodowego organizmu społecznego. Pełna wartość zasad społecznych katolickich okaże się właśnie w takim połączeniu z rzeczywistością narodową.

Rzeczywistość ta uchroni nas bowiem od interpretowania nauk zawartych w Encyklikach w sposób doktrynerski, a więc pomoże interpretować i urzeczywistniać je w sposób zgodny z duchem katolicyzmu, który jest zawsze realny, życiowy, i w sposób zgodny z życzeniami Papieży, którzy jeden tylko cel mogli mieć na oku w Encyklikach społecznych: natchnienie życia społecznego duchem miłości i roztropności chrześcijańskiej. Roztropność ta polega na uznaniu praw natury, praw życia i celów ludzkich; a miłość pozwala wyzyskać je na dobro, zamiast wykrzywienia ich ku złemu wbrew ich przeznaczeniu.

W życiu narodu wszystko znaleźć musi swoje właściwe miejsce, cele doczesne osobiste ludzi i wolność osiągania tych celów; cel wieczny dusz ludzkich i wolność dążenia do niego; wreszcie cel zbiorowy narodu; a są nim, utrzymanie istnienia samodzielnego tej społeczności tak złożonej, a tak niezastąpionej i osiągnięcie wysokiego stopnia kultury narodowej, bez czego nie możnaby wypełnić zadań, jakie Opatrzność narodowi przeznacza wśród narodów innych.

Poznań ZOFIA ŻÓŁTOWSKA-DĄBROWSKA

Z DZIEJÓW ROKU 1918

POJAWIŁO się duże studium o r. 1918. [1]) Autor Feliks Honowski, zapowiada pojawienie się dalszych tomów w przyszłości; pragnie objąć „wszelkie poczynania władz państwowych o charakterze politycznym, ekonomicznym, oświatowym, socjalnym i t. p. od momentu zakończenia wojny światowej poprzez rząd lubelski, objęcie władzy zwierzchniej przez Józefa Piłsudskiego po dzień dzisiejszy i jutro bez daty dnia i roku". Za podstawę bierze autor Dziennik Praw Królestwa Polskiego, Dziennik Praw Państwa Polskiego i Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej, ale na tej podstawie nie zamierza poprzestać, uwzględnić bowiem pragnie „wszystko, co było mówione, pisane i ujawniło się pod jakąkolwiek formą", a zatem także materiały i rozprawy sejmowe, wnioski poselskie, wszystko „co pisano w prasie, wydano w książkach i ulotkach" nie wyłączając oceny działalności poselskiej. Podejmuje się więc autor pracy trudnej, mozolnej i kosztownej, zasługującej na życzliwe poparcie. Pierwsza część tej pracy, którą mamy przed sobą, nazwana częścią „prawno-polityczną", nie odpowiada jednak planowi autora nakreślonemu dla całego dzieła: nie zawiera bowiem krytycznego rozbioru ustaw wydanych w r. 1918 w Dzienniku Praw Państwa Polskiego, a poprzednio Królestwa Polskiego, lecz zajmuje się szerzej jedynie dekretem Józefa Piłsudskiego z 14 listopada 1918 wraz z poprzedniemi orędziami Rady Regencyjnej, oraz późniejszym dekretem o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej, ogłoszonym 29 listopada 1918. Natomiast główną część książki poświęcił autor obszernemu krytycznemu rozbiorowi roli politycznej P. P. S. i rządu ludowego lubelskiego, opierając się na licznych broszurach obozu lewicowego, oraz roli politycznej Dmowskiego i narodowej demokracji, opierając się w tej części na domysłach, nie odpowiadających rzeczywistości. Z wywodów autora o ideologii Piłsudskiego i Dmowskiego, o czynnikach konsolidacyjnych, możemy wnosić, że przyświeca mu idea konsolidacji narodu w dzisiejszej chwili, widzi bowiem pewną analogię pomiędzy rolą polityczną, jaką odegrał w listopadzie r. 1918 Józef Piłsudski, a rolą, jaką obecnie objął „Obóz Zjednoczenia Narodowego" z marszałkiem Rydzem Śmigłym na czele.

Punktem wyjścia dla autora były orędzia Rady Regencyjnej z 11 i 14 listopada 1918 powierzające władzę wojskową, a następnie całą zwierzchnią władzę państwowa Józefowi Piłsudskiemu, oraz obydwa wspomniane dekrety tegoż, uzasadniające utworzenie rządu pod kierownictwem Ignacego Daszyńskiego, a następnie przyznające Komendantowi zwierzchnią władzę do chwili zebrania się sejmu ustawodawczego. Autor zastanawia się dłużej nad stosunkiem wzajemnym obu tych dekretów, chociaż zdaniem moim stosunek ten jest jasny i prosty. Piłsudski po powrocie z Magdeburga przyjął od Rady Regencyjnej przekazaną mu władzę wojskową i zgadzał się na utworzenie rządu narodowego, w którego ręce miała Rada Regencyjna złożyć zwierzchnią władzę państwową. To zobowiązanie stwierdził własnym podpisem. Po zetknięciu się jednak z członkami lubelskiego rządu „ludowego" i po przyjrzeniu się bliższym stosunkom wytworzonym przez lubelski spisek rewolucyjny odstąpił od pierwotnego zamiaru i postanowił utworzyć rząd ludowy zbliżony do rządu lubelskiego, ale zwierzchnią władzę ujął we własne ręce jako twórca rządu przez siebie ustanowionego. Autor nie zwrócił dostatecznej uwagi na to, że Rada Regencyjna po wydaniu dekretu z 7 października 1918 r. o utworzeniu zjednoczonego i niepodległego państwa z dostępem do morza bez protestu ze strony okupantów, którzy już robili przygotowania do opuszczenia Królestwa, nie była już dawną Radą Regencyjną istniejącą z woli i statutu monarchów państw centralnych, zależną w swoich zarządzeniach i nominacjach od zgody okupantów, lecz miała faktycznie nieograniczoną władzę zwierzchnią, aprobowaną przez naród żywiołowym entuzjastycznym przyjęciem orędzia z 7 października.

Z ustąpieniem Rady Regencyjnej władza zwierzchnia przeszła na Piłsudskiego, który objął faktycznie jej funkcje za powszechną zgodą. Wielkim błędem Rady Regencyjnej było, że po ogłoszeniu orędzia z 7 października zatrzymała nadal nazwę, nadaną jej przez okupantów, a znienawidzoną przez czynniki polityczne przeciwne orientacji austro-niemieckiej. Gdy po ogłoszeniu orędzia otrzymałem w Wiedniu (wraz z Tertilem i Daszyńskim) telegram od Rady Regencyjnej z zaproszeniem do przybycia do Warszawy celem zastanowienia się nad utworzeniem rządu koalicyjnego złożonego wedle zapowiedzi orędzia „z przedstawicieli najszerszych warstw narodu i kierunków politycznych" i gdy wraz z innymi kolegami z parlamentu austriackiego byłem przyjęty przez Radę Regencyjną w domu regenta Ostrowskiego, oświadczyłem imieniem demokracji narodowej b. zaboru austriackiego w obliczu wszystkich zebranych (zastrzeżenie moje niektóre pisma mylnie włożyły w usta Tertilowi), że demokracja narodowa nie uznawała i nie uznaje Rady Regencyjnej jako kreacji państw centralnych, nie mogłaby więc wejść do rządu przez nią powołanego. Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby trzej mężowie, którzy ogłosili orędzie z 7 października, wystąpili odrębnie jako zwierzchnia władza aprobowana tymczasowo przez naród do chwili, gdy naród będzie w możności sam ustanowić inną władzę zwierzchnią. Regenci po naradzie oświadczyli przez usta arcybiskupa Kakowskiego, że godzą się na moje zastrzeżenie, ale nie wykonali go, nazywając się dalej „Radą Regencyjną" przez co stworzyli pozory, że nic się w dotychczasowych warunkach władzy zwierzchniej nie zmieniło. Wszak nawet poważni historycy i sam autor porównuje rząd niezawisłej Polski, jakim był rząd Świeżyńskiego, z rządami Rady Regencyjnej, aprobowanymi przez państwa centralne, Kucharzewskiego i Steczkowskiego i nazywają ten rząd rządem „Rady Regencyjnej" wbrew wyraźnemu zastrzeżeniu przy tworzeniu tego rządu przez regentów przyjętemu. Autor słusznie stwierdza, że przeciw charakterowi osobistemu regentów nie

---

[1]) Honowski Feliks. Parlament i rząd w Polsce niepodległej. Część I prawno-polityczna. Słowo wstępne: rok 1918. Warszawa, 1938. (Złota 21) str. XV i 560.

można podnosić zarzutów, ale opinia narodowa nie mogła zapomnieć ich uległości w obec okupantów, ich hołdów składanych w Berlinie i Wiedniu, a nadewszystko haniebnej deklaracji rządu Steczkowskiego przeciwko uchwale koalicji zach. zapowiadającej niepodległość i zjednoczenie Polski. Niebawem się okazało, że sami regenci pomimo wydania orędzia z października r. 1917 tkwili swoimi pojęciami w „statucie” Rady Regencyjnej. Po powołaniu rządu Swieżyńskiego nie chcieli się zgodzić, ani na utworzenie ministerstwa spraw wojskowych dla Józefa Piłsudskiego, ani ministerstwa spraw zagranicznych dla mnie, ponieważ to byłoby sprzeczne z owym „statutem”, sprawy te bowiem nie należały do kompetencji Rady Regencyjnej. Kilka drogich dni stracono na tym uporze, a już po nominacji nie mógł „kanclerz regencji” ks. Chełmicki zrozumieć, dlaczego nie chciałem pójść do Beselera, aby się „przedstawić”. Wśród tych sporów powziąłem przekonanie, że orędzie z 7 października ogłosiła Rada Regencyjna za zgodą okupantów niemieckich, którzy wiedzieli już o swej nieuchronnej klęsce, a przez utrzymanie się Rady Regencyjnej u steru pragnęli zabezpieczyć sobie spokojne odejście.

Tak samo, jak to uczynili pisarze przeciwni demokracji narodowej, także autor uważa mylnie rząd Swieżyńskiego za rząd demokratyczno-narodowy i robi z tego tytułu demokratom narodowym rozmaite zarzuty, powołując się między innymi także na opinię Romana Dmowskiego, który nie był, ani o tym rządzie, ani o wypadkach towarzyszących jego upadkowi przez stronnictwo poinformowany.

Stwierdzam więc, że rząd Świeżyńskiego nie był wcale rządem demokratyczno-narodowym, lecz z założenia swego był tylko wyrazem zapowiedzi orędzia z 7 października 1918 r., utworzenia rządu „złożonego z przedstawicieli najszerszych warstw narodu i kierunków politycznych”, a więc rządem koalicyjnym. Na utworzenie tego rządu godziły się wszystkie stronnictwa wraz z socjalistami i ludowcami w zaborze austriackim, Po otrzymaniu wezwania od Rady Regencyjnej o przyjazd do Warszawy zgłosił się do mnie pierwszy Daszyński z zapytaniem, czy zgodzę się na rząd koalicyjny. Wyjechałem z nim razem do Warszawy, tam odbyliśmy wspólne zebranie w sali Tow. Higien. wraz z ludowcami i wszyscy uznali zgodnie potrzebę utworzenia rządu koalicyjnego pod przewodnictwem Swieżyńskiego, jako przedstawiciela Koła Międzypartyjnego, którego orientacja polityczna w wojnie zwyciężyła. Na prośbę Daszyńskiego, który miał chęć wejść do gabinetu koalicyjnego, zaprowadziłem go do mieszkania Swieżyńskiego i tam go pozostawiłem, aby się mógł swobodnie z nim porozumieć. Dopiero w ostatniej chwili, gdy Swieżyński przystąpił już do tworzenia gabinetu, zapadła wśród socjalistów uchwała odmowna, którą przedstawili socjaliści na nowym zebraniu w Tow. Hig. motywując, że „narazie” przystąpić nie mogą i nie mówiąc wyraźnie o co im chodzi. Wówczas Witos, który pod wpływem zarzutów i naigrawań lewicowych, że idzie „w ogonie wszechpolaków” wahał się zawsze pozostać „sam na sam”, z wszechpolakami, oświadczył również, że ludowcy „na razie” nie wejdą do gabinetu, ale będą gabinet popierali. W obec takich oświadczeń powinien był Swieżyński, złożyć swą misję, zatrzymał ją jednak, licząc na wstąpienie ludowców i socjalistów po naradach z nimi, ponieważ tylko „na razie„ wstrzymali się od udziału w gabinecie. Wtedy tymczasowo zdecydowałem się także „na razie” wejść do gabinetu. Weszło doń kilku bezpartyjnych, dwóch przedstawicieli Rady Regencyjnej (Ponikowski i Higersberger), gabinet jednak uważał się za przejściowy i koalicyjny, a rozmowy ze stronnictwami zostały podjęte po paru dniach dla skompletowania gabinetu. Na razie z lewicy figurował tylko Józef Piłsudski jako desygnowany minister spraw wojskowych, a do kanclerza Niemiec szły nasze telegramy o niezwłoczne zwolnienie ministra polskiego z Magdeburga; dla uspokojenia zaś rządu niemieckiego wysłałem do ministra spraw zagranicznych Solfa telegram, wyrażający chęć utrzymania dobrych stosunków z Niemcami. Solf odpowiedział podobnie, ale Piłsudskiego zatrzymywano nadal. Celem ułożenia się z Witosem wyjechałem do Krakowa, a stamtąd do Lwowa, gdzie był Witos i na konferencji z nim uzyskałem zgodę na wejście ludowców do gabinetu w liczbie czterech członków. Z socjalistami ułożył się w Warszawie minister spraw wewnętrznych Zygmunt Chrzanowski i zgodził się na ogłoszenie przez rząd deklaracji, której zażądali jako koniecznego warunku ich wstąpienia do rządu Swieżyńskiego. Po moim powrocie ze Lwowa deklarację tą przedłożył Chrzanowski na radzie ministrów, uznał jej uchwalenie w danej sytuacji za pilne i konieczne oraz oświadczył, że po jej uchwaleniu i ogłoszeniu zjawią się przedstawiciele lewicy nazajutrz w syndykacie rolnym celem ustalenia rządu koalicyjnego bez udziału regencji. W radzie ministrów objawiły się duże wątpliwości w sprawie tekstu tej deklaracii, nikt jednak nie podejrzywał lewicy o podstęp i zdradę.

Najwięcej wątpliwości miał sam Świeżyński. Ostatecznie wobec stanowczego życzenia ministra spraw wewnętrznych rada ministrów przyjęła to oświadczenie i poleciła prezesowi Swieżyńskiemu, aby Radzie Regencyjnej wytłumaczył powody naszej decyzji w ciężkiej sytuacji politycznej. Oświadczenie to zresztą szło po linii orędzia Rady Regencyjnej z 7 października, wyraziło bowiem konieczność bezwłocznego utworzenia rządu narodowego i w „większości swej złożonego z przedstawicieli pracującego ludu, który obejmie władzę niepodzielną do czasu zwołania sejmu ustawodawczego”. Udzielenie nam dymisji przez regencję braliśmy w rachubę, ale mieliśmy za sobą zgodę ludowców i lewicy socjalistycznej, nie przeczuwając czyhającej zdrady.

Rozmaici pisarze, a także autor, zastanawiają się nad przyczynami utworzenia właśnie z początkiem listopada 1918 r. rządu lubelskiego, Niewątpliwie autor ma rację, przytaczając spisek rewolucyjny, uknuty przez socjalistów, którzy byli świadomi swej bezsilności, nie mając żadnej organizacji u dołów. Ale owe ich rokowania z Z. Chrzanowskim nastręczyły im pożądaną sposobność właśnie w tym czasie. Oszukali tego ministra, podsuwając mu deklarację zwróconą przeciw regencji, aby skorzystać z zamętu i wyjechać do Lublina, gdzie czuli się bezpiecznymi, bo Austriaków tam już nie było, a Komendantem wojskowym był Rydz Śmigły, mianowany przez Radę Regencyjną na wniosek Świeżyńskiego.

(Dok. n.) STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

UDZIAŁ FLOTY HOLENDERSKIEJ W WOJNIE POLSKO-SZWEDZKIEJ 1655–1660

(Dokończenie)

Od MORZA Północnego zbliżał się zwolna admirał van Obdam. Prowadził on 35 okrętów liniowych i 36 transportowców z 2.000 piechoty na pokładzie, a od granic polskich ciągnęli alianci: 15.000 elektorskich pod komendą samego Fryderyka Wilhelma, 13.000 cesarskich, którymi dowodził marszałek Montecuculi, i 5.000 Polaków Czarnieckiego. Gros sił szwedzkich było na wyspach Fionii i Zelandii, na półwyspie Jutlandzkim garnizony były nieliczne, a na skandynawskiem wybrzeżu Sundu również dość słabe. Cieśnin strzegła flota Szwedzka, stojąc z jednej strony pod Kopenhagą a mając wysunięty oddział w Göteborgu. Póki co na morzu panowali Szwedzi. Flota ich miała odeprzeć atak Holendrów.

Eskadra holenderska van Obdama, który miał dwóch pomocników w osobach admirałów de Witta i Floriszona, weszła do Sundu 29 października. Holendrzy trzymali się bliżej do brzegu skandynawskiego, odległego w tem miejscu od brzegów zelandzkich o 2 mile morskie. Baterie szwedzkie z Helsinborga, oraz Kronborga otworzyły przerywany ogień, skoro tylko ujrzały przeciwnika, lecz pociski nie donosiły. Admirał de Witt, dowodzący przednią strażą i mający swą flagę na „Brederode" (54 działa), prawie nie odpowiadał na strzały z bateryj lądowych, a dojrzawszy stojącą pod Kroneborgiem eskadrę szwedzką, poszedł całą siłą żagli na środek sił nieprzyjacielskich. Szwedzi mieli pod Kopenhagą 35 okrętów liniowych i 8 fregat z 1.900 działami i 7.500 załogi, atoli pchnęli pod Kronborg tylko 75% swej floty, pozostawiając 25% o 10 mil morskich w głębi Sundu, koło wyspy Hwen. Ten oddział miał obserwować flotę duńską w oblężonej dotychczas Kopenhadze. W ten sposób siły szwedzkie były podzielone już przed rozpoczęciem bitwy, przyczem oddział obserwacyjny znajdował się i zadaleko od swoich sił głównych, i był znacznie słabszy od eskadry duńskiej, stojącej na redzie Kopenhagi. W rezultacie van Obdam miał odrazu przewagę liczebną (35 okrętów liniowych przeciwko 27 okrętom Wrangla) i wykorzystał tę przewagę w całej pełni. Bitwa trwała siedem godzin: Holendrzy mieli pomyślny NW i wytrwale posuwali się ku Kopenhadze, łamiąc dzielny opór Szwedów. Po południu Wrangel cofnął się do portu szwedzkiego. Landskrony, znajdującego się na połowie drogi między Kronborgiem i Kopenhagą, a Obdam triumfalnie zawinął do stolicy duńskiej. Holendrzy okupili sforsowanie Sundu stratą 5 okrętów i 7.00 ludzi (między poległymi znajdował się admirał de Witt, a ciężko została uszkodzona jednostka flagowa Obnama, „Fendragt"). Szwedzi mieli 3 okręty zatopione i znacznie mniejsze straty w ludziach.

Zwycięstwo Holendrów pod Kroneborgiem miało, jako skutek, zablokowanie floty szwedzkiej w Landskronie i odcięcie gros sił Karola Gustawa, stojących pod Kopenhagą od Szwecji. Jednocześnie wojska alianckie, któremi dowodził z prawa starszeństwa i urodzenia elektor brandenburski, zajęły szwedzkie Pomorze Nadodrzańskie, wkroczyły do Holsztynu i opanowały całkowicie półwysep Jutlandzki. Główna kwatera aliantów została założona we Flensburgu. Król szwedzki znalazł się więc osaczonym na wyspach duńskich, na których, w dodatku, prowadzono intensywną wojnę podjazdową. W zimie rozpoczęły się próby aliantów przeprawienia się z Jutlandji na wyspy, a Holendrzy, którzy mieli podstawę operacyjną w cieśninie Sundzkiej, w Kopenhadze, zjawili się w Wielkim Bełcie, kontrolując szlak między Fioją, a Zelandią. Choć próby przeprawienia się aliantów z kontynentu na wyspy szły tępo, bo jedynie zdołano przy pomocy polskiej kawalerii dostać się na Alsen, jednakże sprawy szwedzkie pogarszały się z każdym dniem. Zaciekły szturm, przypuszczony w lutym 1659 r. do Kopenhagi, był krwawo odparty, przyczem odznaczyli się marynarze holenderscy, i Karol Gustaw musiał przejść na Zelandii do defensywy.

Sprzymierzeńcy działali bardzo metodycznie: najprzód miano zająć Fionię, a potem Zelandię. Przepraw postanowiono dokonać przy pomocy floty holenderskiej, której została podporządkowana cała flota duńska z Kopenhagi [1]). W tym celu holenderski admirał Heldt na czele 16 okrętów duńsko-holenderskich wczesną wiosną wszedł do Wielkiego Bełtu i ściągnął na siebie eskadre szwedzką z Göteborga, admirała Biölkenstierny. Szwedzi początkowo zapędzili Heldta do Flensburga, lecz zostali zaatakowani z tyłu przez samego Obdama, który, nie obawiając się zablokowanego Wrangla w Landskronie, wyszedł czemprędzej z Kopenhagi. Biölkenstierna z wielką biedą zdołał wymknąć się Holendrom, lecz nie zdążył wrócić do swego Göteborga, a tylko schronił się do Landskrony. Flota szwedzka znalazła się teraz w potrzasku całkowicie. Alianci, *respective* Holendrzy, panowali w cieśninach.

W kwietniu przybyła nowa eskadra holenderska admirała de Ruytera, złożona z 39 okrętów liniowych i 3 branderów, mając na pokładzie 1.800 dział i 7.700 załogi. Było to przypieczętowanie losów armii szwedzkich na Fionii i Zelandii. Zjawiła się co prawda tak długo oczekiwana przez Karola Gustawa flota angielska, którą dowodził admirał Goodson, lecz zawróciła ona do portów ojczystych, z obawy przed burzami jeszcze w końcu roku ubiegłego, 1658. Druga zaś flota brytańska, jaka pokazała się w Kategacie w 1659 r. pod flagą admirała lorda Montagu, nie weszła wcale do Sundu i została niebawem odwołana do kraju, wobec zbliżajacej się restauracji monarchii. Montagu, krążąc przy wejściu do Małego Bełtu, zdołał jedynie swoją obecnością ocalić eskadrę szwedzką Wrangla, ktora wymknęła się w składzie 38 jednostek z Landskrony, aby przeszkodzić przeprawie

[1]) Flota duńska pod względem organizacji i wyćwiczenia przypominała bardzo flotę holenderską. Naogół okręty duńskie były większe od holenderskich, lecz miały te same cechy ujemne, co Holendrzy, tj. mała szybkość i niewielka zwrotność. Nastrój we flocie duńskiej był wybitnie żeglarski, a nastawienie wojskowe bardzo umiarkowane. Na brak wojowniczości i dyscypliny narzekano również w duńskiem wojsku lądowem.

aliantów na Fionię. Obdam czatował na flotę szwedzką, a miał pod komendą 90 okrętów, lecz obecność Anglików wstrzymała energiczną akcję wodza holenderskiego, mającego instrukcje unikać zatargów z jednostkami brytańskiemi [2]).

Pomimo zjawienia się Anglików i rozpaczliwej obrony Szwedów na Zelandii, ataki aliantów na Fionię trwały w dalszym ciągu. Korpus szwedzki generała margrabiego Sulzbacha odpierał te ataki z największym wysiłkiem, lecz liczył tylko 6.000 ludzi, a nie mógł się spodziewać żadnej pomocy, ponieważ w obu Bełtach krążyły eskadry duńsko-holenderskie. Z odejściem Anglików zniknęła do reszty ta osłona, którą dawały okręty Cromwell'a, zjawiając się, na spodziewanem miejscu rozprawy. Sprawa Fionii będąca wstępem do oswobodzenia Zelandii, była już przesądzona i nawet Stany Generalne odwołały w październiku część swojej eskadry, zostawiając w cieśninach jedynie Ruytera z 37 okrętami. 11 listopada 1659 r. nastąpiło uderzenie na Fionię z dwóch stron: w Kertenminde na wschodniem wybrzeżu wylądował duński marszałek Schack z 2.000 Duńczyków i Holendrów, przywiezionych pod osłoną eskadry Ruytera, połączonej z jednostkami duńskiemi Biölke'go i Juel'a, z Kilonii, a na zachodniem w Middelfart przeprawiło się z Jutlandii 10.000 cesarskich, elektorskich i Polaków pod naczelnem dowództwem duńskiego generała Ebersteina. Obie grupy poszły koncentrycznym marszem na twierdzę nadmorską w Wielkim Bełcie Nyborg, zablokowaną już przez Ruytera od strony morza. 25 listopada została stoczona pod tą twierdzą i o tę twierdzę bitwa lądowo-morska: wojska szwedzkie uległy przewadze przeciwnika i po rozpaczliwej walce, straciwszy połowę stanu liczebnego, złożyły broń. Sprzymierzeńcy ponieśli również ciężkie straty, między innemi w osobie dowódcy oddziałów polskich, pułkownika Piaseczyńskiego, który sprawował naczelną komendę po odwołanym niedawno Czarnieckim.

Przegrana pod Nyborgiem oddała w ręce sprzymierzonych Fionię. Teraz była kolej na Zelandię i wzięcie do niewoli Karola Gustawa. Monarcha szwedzki przeczuwał nieuchronną zgubę i pierwszy rozpoczął rokowania pokojowe, które doprowadziły do układu w Oliwie. Traktat oliwski 1660 r, ustalał właściwie *status quo ante*, lecz było to klęską dla Sztokholmu. Marzenia o uzyskaniu polskich wybrzeży i supremacji nad Danią rozwiązały się bezpowrotnie. A decydujący cios zadała tym rojeniom o potędze flota holenderska, która zjawieniem się swojem na redzie gdańskiej w 1656 r. ostrzegła Szwedów przed eksperymentem z „*mare clausum*", sforsowaniem Sundu w bitwie kronborskiej unieruchomiła Karola Gustawa na wyspach duńskich i opanowaniem cieśnin dała możność aliantom przeprawienia się z Jutlandii na wyspy. Admirałowie Obdam i Ruyter zachowali dla Holendrów to stanowisko na Bałtyku, jakie było niezbędne dla polityki Stanów Generalnych, a dla Rzeczypospolitej wystąpili ze skuteczną dywersją.

WITOLD HUBERT

[2]) Flota angielska za Cromwell'a odznaczała się świetnem wyćwiczeniem żeglarskiem i wojskowem (szczególniej w dziedzinie artyleryjskiej) oraz żelazną karnością, wprowadzoną przez Blake'a. Okręty były większe, szybsze i zwrotniejsze od holenderskich.

NAUCZYCIELE „WOLNOŚCI"

LUDZKOŚĆ nie zawsze jest zadowolona z tego co ma, ale w większości wypadków pragnie zmiany. Tylko, że jeden człowiek męczy się ale tłumi niezadowolenie w sobie, inny natomiast wyrusza, krusząc okowy przestrzeni, na poszukiwanie przygód, na poszukiwanie nowości.

Zawładnąć przestrzenią: oto hasło, które od dawien dawna głoszone jest wśród ludzi. Dążyć naprzód, by odnaleźć gdzieś na końcu poszukiwaną — przecież niekonkretną odrębność, zamienić to co jest na to co może być, rzeczywistość na ideał.

Wracający spod Troi Odyseusz błądzi po morzach nie dlatego, że tak mu kazali mściwi bogowie, ale dlatego, że się w nim wciela niepokój starożytności. Kupczyk Guliwer odwiedza olbrzymów i pigmejów, ucieleśniając w swej osobie wieczny ideał dziecinnych marzeń. Tak samo szaleniec z Manchy stanie się symbolem ucieczki od rzeczywistości, a nawet kochliwy pan Pickwik trzęsąc się na imperiale dyliżansu w towarzystwie trzech swoich przyjaciół reprezentuje coś więcej niż zainteresowania naukowe klubu jego imienia.

Rozmaity jest koniec podróżników. Jedni pozostają — w krainie marzeń. Inni wracają, złamawszy skrzydła, do rzeczywistości i tylko z bólem wspominają o swym wylocie. Jeszcze inni... Ale posłuchajmy:

Roland Dorgelés autor paru powieści i paru książek podróżniczych wyruszył także na poszukiwanie... wolności [1]). Ano — skąd zacząć? Chyba od Rosji. Wprawdzie francuskie pojęcie „mużyka" nie jest synonimem pojęcia wolności, jednakże przyjaciele z pod znaku tow. Thoreza tyle mówili, tak zachęcali, że wypadało jechać.

Dorgeles'a interesuje przede wszystkim sprawa robotnicza. No bo i jakże, przecież nie dla idei religijnych czy moralnych dokonany został przewrót, ale dla tego, aby robotnik mógł lepiej zjeść. „U nas robotnik lepiej pracuje — powiadają bolszewicy — patrzcie na stachanowców" (o jedzeniu, jak widzimy, tymczasem, ani słowa). Ale już towarzysz Gide zauważył, że rekordzista-stachanowiec sowiecki robi akurat tyle, ile przeciętny robotnik francuski, który chyba też nie jest ideałam wydajności. Za to robotnikowi sowieckiemu nie grozi bezrobocie. Prawda — stwierdza to uczciwie Dorgelés — tylko policzcie towarzysze, rentę ubezpieczeniową robotnika francuskiego na wypadek braku pracy z płacą robotnika sowieckiego, a okaże się, że lepiej być bezrobotnym w Paryżu, niż pracownikiem w Moskwie.

Ceny? Lepiej nie mówić. Aby kupić sobie zwykłą sukienczynę wełnianą, przeciętna pracownica fabryczna musiałaby pracować przez trzy z górą miesiące, nic nie jedząc i na nic innego nie wydając przez cały ten czas. Robotnikowi, który zarabia

[1]) Roland Dorgelés „*Vive la liberte!*" A. Michel, Paris 1937, p. 311.

100 rb. miesięcznie sklep proponuje marne buty za 500 rb. i koszulę za 75 rb. Więc nic nie jest tanie. Ależ i owszem: kawior, oraz pomadki do ust. I jeszcze są malkotenci, którzy ośmielają się mówić, że robotnik sowiecki nie stoi wyżej niż jego koledzy z kapitalistycznych krajów!

We Francji, gdy komuś nie wystarcza na dobry obiad z winem, a także na jedwabne pończochy dla żony, urządza się strajk. Nie będzie pracować i już. Prosi go mer, prosi go premier, prosi go prezydent, aby raczył pracować. Nie i nie. Aż dadzą podwyżkę. A w Rosji? Art. 58 § 13 Kod. Karnego wzmiankujący o sabotażu i kontrrewolucji. Innymi słowy: kula w łeb.

Do Rosji zjeżdżają się „inturyści“. Chcą zobaczyć przecież „kraj optymizmu“ (tak głoszą przynajmniej propagandowe plakaty). Przyjezdnych obstawiają odpowiedni przewodnicy. Dzielni i inteligentni ludzie! Bo i pomyślmy sobie tylko jakie pytania mogą się wylęgnąć w głowach podróżujących burżujów. Np.:

— Dlaczego te kobiety są tak nędznie ubrane?

— To wieśniaczki, które przybyły z daleka, aby sobie kupić sukienki. Jutro odjadą doskonale ubrane?

— Tak? A czemu nie widać tych, które już załatwiły swoje sprawunki?

— Oh, proszę pani, one nie chcą robić przykrości tamtym...

I słusznie. Po co psuć bliźnim humor, gdy jest się w kraju wiecznego optymizmu?

Wszystko służy przecież tłumom. „Życie stało się weselsze“ — ogłosił Stalin. Wprawdzie chleba brak, ale jego miejsce zastąpić mogą „*circenses*“. Pochody, manifestacje, krzyki, wiwaty, przemarsz dziewcząt w kostiumach gimnastycznych (przyjmowany specjalnym aplauzem). Głodne, zgonione tłumy włóczą się potem długo po ulicach pragnąc zapomnieć o pustce w brzuchu. A tu akurat „inturyści“ wyszli z teatru:

— Skąd wracają ci ludzie, proszę pani?

— Z defilady.

— Jakto? Dopiero teraz?

— Otrzymali dobrą kolację w klubie...

Turystom wolno także pojechać na wieś. Autokarami. Do specjalnie przygotowanych na ich wizytę kołhozów. Tam zobaczą przeciętnie czystą wieś angielską zamieszkałą przez ludzi, których mowy nie rozumieją. Niepokalana białość łóżek budzi niepokój u doświadczonych „inturystek“:

— „Jak oni potrafią utrzymać łóżka w takiej czystości, mając dzieci tak skandalicznie brudne? Chyba dopiero co oblekli nową bieliznę?“

Mniej poleconym jest odwiedzanie sądów. Bo i po co? Sąd, jak sąd — zasadniczo nie różni się niczym od innych sądów. Tyle, że na zachodzie Europy sensację budzi wyrok śmierci a w Rosji akurat przeciwnie — uniewinniający. Za to sąd z całą skrupulatnością rozważa cenzus moralny osób, których sprawa trafiła do sądu, Sprawdzianem będzie naturalnie przynależność do partii. W zależności więc od cenzusu wina zwie się wprost przestępstwem, albo prowokacją...

W kraju wiecznego optymizmu jest jednak miejsce, gdzie zapowiedziana przez Stalina radość życia osiągnęła swoje apogeum. To miejsce — to więzienie w Bolszewie o 25 km. od Moskwy. Dorgelés'a oprowadzał po więzieniu tamtejszy poeta towarzysz Piczugin, bardzo sympatyczny młodzian, entuzjasta *locum*, gdzie zamieszkuje razem z matką i siostrą. Biedne kobiety nie miały gdzie mieszkać w Moskwie, ale odkąd artysta trafił do Bolszewa i one znalazły przy nim oparcie. Bo więzienie nie wygląda wcale na więzienie Ot — kołhoz odznaczający się tym, że płace są tu trzy do czterech razy wyższe, niż gdzie indziej. Więźniowie mogą mieszkać z rodzinami, mogą się nawet żenić, przy tym przysługuje im wolny wybór tymczasowej towarzyszki, albo z pośród internowanych, albo z zewnątrz.

Dorgelés zapytuje: „Nikt was nie strzeże, towarzyszu. Czyż więc nie zdarzają się wypadki ucieczki?“

Poeta odpowiada z rozbrajającym uśmiechem: „Ależ, cóż znowu! Każdy miał tyle trudności, aby tu się dostać!“

— „Czy przyjmowani są tu także więźniowie polityczni?

Miałem wrażenie, że Mikołaj splunie z obrzydzenia. Co? Arystokraci, trockiści, ludzie, którzy dyskutują? Niet! niet! Nie potrzeba tu takich. Ani skazańców politycznych, ani zbuntowanych chłopów, ani spekulantów. To miejsce tylko dla czystych. Dla ludzi, którzy rozpruli kasę, lub zgwałcili siostrę.

Więźniowie mają prawo wychodzić co tydzień na 24 godziny do miasta. Ich ekipa *hockeyowa* jest drugą w Z. S. R. R. Wydają bale, urządzają zawody sportowe.

Więzienny zespół jazz-bandowy włóczy się przez cały sezon po krymskim wybrzeżu. Żyć nie umierać!

W ogóle żyć nie umierać w Rosji (może dlatego tylu ludzi zabija się, boby nikt nie chciał umierać w tym kraju wiecznego optymizmu). Pan Dorgelés nie poznał się jednak na tym. Pojechał dalej.

Do Polski? Nie — do Niemiec. Polskę pominął, wcale tu wolności nie szukał. Może Polski nie znalazł na swojej mapie (wiadomo, że mapy francuskie nie odznaczają się dokładnością) a może łaskawe pominięcie zawdzięczamy bardziej „osobistej" protekcji. Książka przecież nosi dedykację: „*pour* Hania".

Berlin. Jeden mundur, dwa mundry, dużo mundurów. Nie ma twarzy, ale są mundury. Z głośników krzyczy głos Führera: „oszczędzajcie na jedzeniu, oszczędzajcie na jedzeniu. To bardzo zdrowo. Wprawdzie nie macie masła, ale za to macie armaty!" A zaraz potem dodaje brzuchaty Göring: „jedzcie mniej, jedzcie ryby" (ryby jak wiadomo można złapać w rzece, lub w morzu, masła, ani kiełbasek nikt jeszcze na wędkę nie złapał).

Dorgelés zawsze zaczyna szukać wolności od brzucha. Jest to dla niego ośrodek doświadczalny. Ideologia, neopoganizm, determinizm rasistyczny... no tak, to bardzo ważne rzeczy, ale kiełbaski w sosie są jeszcze ważniejsze. Poza tym—*fi donc*— młodzi hitlerowcy bawią się w śmieciarzy. Zbierają skórki od bananów, kości, puste tubki od kremów... We Francji nic się zbiera. We Francji ludzie umieją tylko wyrzucać,

Bez mundurów w Berlinie chodzą tylko żydzi. Bardzo to zmartwiło Dorgelés'a. Zepsuło mu to poprostu folklor. Co warte umundurowane miasto z takimi plamami? Należy, albo żydów umundurować, albo wszystkich rozmundurować. Aby się niczym nie różnili.

Ale najbiedniejszy w Berlinie, jest Adolf Hitler. Naprawdę grozi mu wciąż rozerwanie przez tłum, który tylko do czasu znosić będzie swoją nędzę i wieczne ograniczenia. Ale potem... Straszne! Dorgelés nie chciałby dożyć tej chwili.

I dlatego, jazda dalej. Nad modry Dunaj. Rosja jest głodna — nie ma tam wolności, Niemcy domagają się wciąż nowych ofiar od swych obywateli — nie ma tam wolności. Gdzież się ona ukryła do licha?!

Wiedeń już nie przypomina miasta moich marzeń. Zdławiony socjalizm jęczy głucho i skarży się cicho Dorgelés'owi. Jakaś *Fraülein* z plaży opowiada mu:

„U nas w domu nie zawsze je się obiad. Na zmianę mama, ja i siostra obchodzimy się bez jedzenia, aby umożliwić jedzenie papciowi. Przecież on musi pracować".

Groźny cień zabitego małego kanclerza ciąży jak ponura zmora nad miastem. To znaczy ciąży w wyobraźni Dorgelés'a i jego głodnych konfidentów. Biednemu — a przecież jakże wielkiemu — Dolffusowi-człowiekowi, który pierwszy ośmielał się wcielać w życie publiczne zasady chrześcijańskiego życia społecznego nie wybaczy nigdy demokracja tego, że kazał strzelać do buntujących się band socjalistyczno-komunistycznych.

Węgry? Tam też nie ma wolności. Kraj jest biedny; demokracja zdławiona. Jakiś żyd-student objaśnia Dorgelés'a:

„Tutaj konserwatyzm pragnie zachować swoje przywileje. Ja — proszę mi wierzyć (ależ wierzymy!) — jestem demokratą. Pragnąłbym, aby powstała republika powszechna, taka na jaką głosowaliśmy w 1918 r."

Znane czasy. Wiemy coś niecoś o Beli Kunie i o żydach-terrorystach, którzy, gdy rewolta została stłumiona, uciekali w popłochu zagranicę (czy, aby nie do Polski?), albo leżeli jęcząc przed kościołami, błagając o chrzest.

— „Będziemy o nią walczyć!—krzyczy żyd — odzyskamy wolność!"

Szofer taksówki do której wsiadł nasz pisarz, ogląda się i mówi:

— „Słyszał pan? Ah, świnia kudłata!"

Dorgelés jest zgorszony. Co za brak humanitaryzmu! Ale naturalnie, czegóż się może spodziewać po kraju, gdzie się bojkotuje żydów i określa ich ilość na uniwersytecie na 60%.

— „Chciałbym być we Francji - dyszy szofer-antysemita, — To bym mu powiedział...

— Co by pan mu powiedział?

— Że jest świnią kudłatą!"

Znad Dunaju nad Tyber wiedzie droga prosta. Trudno zaprzeczyć, że w kraju kwitnących pomarańcz faszyzm wszedł już w żyły i w krew ludzi. Są jednostki, które się go wypierają, a jednocześnie myślą tak, jak myślą faszyści.

Znowu mundury, mundury, mundury. Tylko barwniejsze niż w Niemczech, operetkowe. To nie tyle służba wojskowa, ile zabawa w wojsko. w Niemczech cywil pręży się jakby był wojskowym, we Włoszech żołnierz chodzi rozchełstany jakby był cywilem,

Ustrój... Straszne rzeczy! Tu właśnie robotnik jest ochraniany na każdym kroku. Wielcy obszarnicy są tylko zarządcami ziemi (nie ma wolności!) kapitały nie pracujące—owe ukochane przez Francuzów renty — obłożone szalonym podatkiem (nie ma wolności), przemysł i rzemiosło ujęte w ramy, korporacjonizmu wytwarzają tylko to co im wytwarzać wolno (nie ma wolności), luksus, bogactwo jest rzeczą nieznaną (nie, nie ma wolności!).

Robotnikom też niby nie jest dobrze. Chłopom też. Płace są niskie. Trzeba się ograniczać... Eh, szkoda mówić o takiej wolności!

Dorgelés powrócił do kraju. Otrząsnął pył z pielgrzymich chodaków i stwierdził wszem wobec: wolność jest tylko we Francji. Po co więc wyjeżdżał? Pewno — człowiek musi się naocznie przekonać o tym co posiada. Wrócił zachwycony: my nie znamy przymusu, my nie znamy rewolucji.

Szczęśliwy badacz. Don Kichot z mniejszym entuzjazmem witał rodzinną Manchę, gdy go przywieziono spod wiatraków. Ale on czegoś szukał, a nie znalazłszy rozpaczał. Dorgelés niczego nie szukał, to też radośnie zawinął do portu po beztreściwej wędrówce.

Świat poprzez mękę i wyrzeczenie się szuka nowości. Szuka błądząc i cierpiąc, bo mu zatęchła atmosfera zbutwiałych doktryn obrzydła całkowicie. Szuka, bo nie szukać może tylko ten, kto znalazł Najprawdziwszą z Prawd—a od tego jesteśmy jeszcze tak daleko! Katolicy wiedzą—przynajmniej powinni wiedzieć—gdzie leży rozwiązanie zagadek życia i tajemnic prawdziwej wolności. Świat jednak chce do tego dojść drogą okrężną, poprzez próby i doświadczenia bez końca. Ale społeczeństwo, które niczego nie szuka—nic nie posiadając, które daje się obcym rządzić i sobą kierować, stojąc nierządem — jak niegdyś Polska — określać umie jedynie wolność miarą pełności brzucha.

Lublin JAN DOBRACZYŃSKI

Horacy: DO OKRĘTU

O navis, referent in mare te novi fluctus...

Hej okręcie więc znowu
płyniesz na topiel mórz?
Silnie trzymaj się portu!
Cóż ty zamyślasz, cóż?
Czyż doprawdy nie widzisz,
że twe boki — bez wioseł już?

Czyż nie widzisz, że maszt twój,
wichrem smagany pękł?
Czyż nie słyszysz, jak belki
głuchy wydają jęk?
jak zaciekłe bałwany
kruszą słabe spojenia wręg? [1])

W strzępach wiszą twe żagle...
nie masz ni lin ni rej!
Jakich bogów zawezwiesz
w smutnej niedoli swej?
Choć masz deski sosnowe
hen ze sławnych pontyjskich kniej,

lecz nie zbawi cię dzisiaj
twego imienia cześć;
próżno świeżą swą farbą
pragniesz żeglarza zwieść!
Zadrwi z ciebie wichura,
gdy cię będzie po morzach nieść!

Dawniej brał mnie niepokój,
gdy odchodziłeś w dal,
dziś mnie smutek ogarnia,
w sercu mi cięży żal...
Strzeż się, strzeż się, okręcie,
jasnych Cyklad, egejskich fal!...

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

Na Atlantyku, 10 września 1937 r.

---

[1]) Wręgi czyli żebra (carine) — zakrzywione żebra, belki podtrzymujące dno okrętu.

NA WIDOWNI

O zjednoczeniu ku obronności. — Ks. Skorupka i dzieci w Okrzei. — Program OZN-u i życie. — Życie poszło dalej. Naturalny proces twórczy i nastrzykiwanie idej. — Zjednoczmy się z narodem.

Z MNÓSTWA przykrych, niepokojących, nieraz przerażających wiadomości krajowych, które w dziennikach wyczytujemy, dwie czepiły się w ostatnich czasach mojej pamięci i skojarzyły z sobą. Jedna z nich — to samobójstwo matki ks. Skorupki.

Nikomu widocznie nie było wiadomem (to samo już jest straszne), że gdzieś na Kamionku w Warszawie pędziła żywot Skorupkowa ta, która wychowała legendarnego księdza, ową postać bohaterstwa polskiego. Ks. Skorupka przedstawiony na obrazie w otoczeniu żołnierzy i krzyżem do góry wzniesionym wstrzymujący nawałę wroga, — to symbol „cudów nad Wisłą". symbol roli, jaką Polska w dziejach odgrywa w charakterze przedmurza chrześcijaństwa, symbol ścisłego zjednoczenia Kościoła z Narodem. Były odezwy, wzywające do wystawienia pomnika Skorupki. A tymczasem żywy pomnik jego młodości, przez 17 lat od bohaterskiej śmierci pasierba zapomniany, niszczał. Skorupkowa zamęczyła się w nędzy. — Targnęła się na tą resztkę życia z rozpaczy.

Że nikt, do kogo to należało, nie zatroszczył się o nieszczęsną kobietę — to dowód, że zamało jest uczuć opiekuńczych w społeczeństwie, zbytnio liczącym na urzędy opieki. Na wypłatę długów wdzięczności nie wszyscy mogą liczyć. Ks. Skorupka był „narodowcem".

Drugi wypadek — to opisana w gazetach ankieta proboszcza w Okrzei w powiecie łukowskim, dokonana w miejscowej szkole. Dobry ten kapłan zbadał, co też dzieci jadają, widział bowiem ich opłakany stan fizyczny. Zaledwie mały procent przybywa do szkoły po śniadaniu, lub ze śniadaniem. Większość widuje chleb raz na kilka dni, wiele jest takich, które go wcale nie widują i żywią się nadzieją, że będą go jadły po zbiorach [1]).

Ziemia tam jest piaszczysta, dotknęła ją w roku ubiegłym posucha. Oficjalnie ogłaszano, że powiat łukowski poniósł klęskę i że będzie głód. Pamiętam, wymieniano kwotę potrzebną dla uratowania ludności od głodu, chodziło o 400 tysięcy złotych. Radzibyśmy wiedzieć, czy pośpieszono z ratunkiem i w jaki sposób. Dzieci z Okrzei są dowodem, że tej pomocy dotąd nie było. A jakże to znikoma suma 400 tysięcy wobec zbytków milionowych na jakie sobie pozwalamy.

Ziemia łukowska wydała na świat Sienkiewicza. Ta ziemia podlaska rodzi ludzi dobrych. Znam ich zbliska. Nieoceniony to materiał obywatelski i gospodarczy, podatny na kulturę, ludzie pracowici, zabiegliwi, inteligentni, piękną mówiący polszczyzną, żywioł ładu, odporności, patriotyzmu i bogobojności. Ale czy dziecko wyniszczone głodem wyrośnie na rekruta?

— — — — — — — — — — — — — — —

Wielka mowa nowego (po ustąpieniu płk. Koca) szefa OZN., gen. Skwarczyńskiego, rozgłoszona przez radio, nie znalazła żywego oddźwięku w społeczeństwie. Złożyło się na to kilka przyczyn, które sprawiły, że słuchano tych założeń teoretycznych zamierzonej twórczości z pewnem roztargnieniem. Nie zdołały te słowa przezwyciężyć innych fal, bezpośrednio z życia biegnących, mianowicie odgłosów obrad sejmowych, procesu Doboszyńskiego i wydarzeń wileńskich. Ale była także — może główna — przyczyna wewnętrzna.

Umysłowość polska w sprawach uświadomień polityczno-społecznych i kulturalnych poczyniła w warunkach politycznej niepodległości wielkie postępy. Zagadnienia bytu Polski, ustroju i dążeń zostały przerobione wszechstronnie na warsztatach stronnictw i w kilku zasadniczych punktach osiągnęły swoją syntezę. Dokonały w tym względzie wiele doświadczenia własne narodu i doświadczenia krajów obcych. Z tą dojrzałością, do jakiej doszło społeczeństwo polskie, można już wiele zrobić, aby dać tylko ujście normalne dla myśli twórczej w warunkach zapewnionego ładu, bezpieczeństwa i poszanowania prawdy.

Wygłoszony ponownie po rocznych próbach realizacji, program OZN-u nie wywołuje wrażenia, ponieważ nie odpowiada na pytania stawiane przez naród. Jesteśmy już znacznie dalej niż OZN. Deklaracja wyznacza mu ambitne zadanie „zjednoczenia narodu". Ogół nie bardzo rozumie, jak się taka rzecz da zrobić, żeby naród zjednoczyć w jednym obozie, w którym nadomiar od początku grono kierownicze nie może dojść do jednomyślności. Nie może przytem zrozumieć koncepcji narodu, który według deklaracji traktowany ma być nie jako wartość sama dla siebie, lecz jako użyteczność dla jednego ze swych narządów. Owa „obronność" wzięta w tej koncepcji za punkt wyjścia, nie obejmuje przecież całości zadań biologicznych osobowości narodowej. W programie należy do zagadnień oczywiście bezspornych, ale minimalnych, żeby nie powiedzieć negatywnych. Nie dość jest „nie dać się", trzeba żyć i to na skalę pozytywną, w której ekspansywność jest warunkiem bytu osobowości rozrastającej się.

Kierownicy OZN-u po rocznych próbach mechanicznego „jednoczenia narodu" w swojej organizacji przekonali się, że nie łatwo wytworzyć nowe życie za pomocą inkubatora, nadewszystko pogodzić sprzeczności, bez których bodaj nie byłoby życia, więc stopniowo obniżają poziom wymagań. W ogłoszonym teraz programie p. Skwarczyńskiego osiągnięto poziom tak bezsporny, że już całkiem neutralny politycznie. Poprostu rzecz ściąga do zagadnienia: trzeba być, trzeba istnieć wogóle, żeby było o czem mówić jako o przedmiocie dziejów, trzeba pracować, dorabiać się itd. bo to potrzebne do obronności.

To wszystko prawda, ale właśnie w tym zakresie naród jest zjednoczony. Każdemu owszem wydaje się dziwnem, że dla głoszenia takich wróbledachizmów stwarzać musimy tak kłopotliwe i kosztowne instytucje.

— — — — — — — — — — — — — — —

Weźmy dla przykładu dwa przytoczone na początku fakty — jakże się z nimi ten program „konfrontuje"? Podlasiacy w Okrzei bez szumnych haseł pracują uporczywie. Dzieci ich bez szemrania biegają do szkoły po kilka kilometrów o głodzie i chłodzie, łakną oświaty. Ten sam lud na Podlasiu w najcięższych warunkach niewoli dawał dowody bohaterskie obronności, broniąc swej wiary i przynależności do narodu polskiego.

---

[1]) Ludzie miłosierni niech przyjdą z pomocą, adresując ofiary ks. Antoni Kresa w Okrzei, poczta Okrzeja (pow. łukowski).

Co do tej obronności: nie było jeszcze OZN-u, kiedy ks. Skorupka wyszedł w pole do walki z pohanami. Nie czekała na program obronności młodzież polska, zaciągając się z entuzjazmem do wojska, gdy się potrzeba zdarzyła. Nie czekali OZN-u: orlęta we Lwowie, powstańcy na Śląsku i w Wielkopolsce, obywatele Wileńszczyzny, przyłączający swój kraj do Polski.

Gorzej byłoby w przyszłości, gdyby się tę żywiołowość odzwyczaiło od samorzutności i gdyby każdy oglądał się na OZN jako wynalazcę solidarności narodowej, patriotyzmu, wogóle instynktu samozachowawczego.

Cała rzecz leży w środkach i myśli twórczej. Ale o tych środkach dochodzenia do celu w deklaracji nie ma mowy. Piękne są hasła inwestycyj, każdyby chciał żyć na wielką stopę, chcielibyśmy jednak dowiedzieć się czegoś, jak dojść do posiadania potrzebnych na to środków. Hasła domagają się myśli.

Jeśli chodzi o te elementarne warunki bytu i obronności, na to właśnie odbudowało się państwo, instytucję szerszą niż OZN, aby ono w ścisłym zespoleniu z narodem na wytworzenie tych warunków pracowało. Nikt przecież inny, tylko ci, co sztuczną konstrukcją usiłują teraz jednoczenie narodu z państwem uzupełniać, ten naturalny stosunek popsuli. Myśl OZN-u zawsze będzie traktowana jako myśl frakcji i nie wystarczy psychicznie narodowi jako organ jego woli. Powiększy tylko nieład.

Ileż dalej życie poszło od prymitywów OZN-u! Wysunęło ono na czoło warunków dalszego rozwoju Polski załatwienie sprawy żydowskiej. Jest to warunek niepodległości i dosłownie obronności. Ściąga sprawę do formalizmu, kto widzi nieprzyjaciela tylko ościennego, a nie dostrzega wewnętrznego. Program OZN-u nie może już tej kwestii pominąć, ale traktuje ją kompromisowo, w duchu ustawy o ochronie lokatorów.

Wogóle byłby już czas dostrzec tę prawdę, że jeśli chodzi o jednoczenie narodu z państwem, to za cement trzeba uważać myśl, którą życie ducha narodowego wytwarza, nie tylko dla tego, że trzeba szanować prawo autorstwa, ale dla tego, że w rezultacie naród musi tak czy owak każdą myśl wykonać. Wtedy liczyć można w realizowaniu idej na entuzjazm. Nie zastąpią tej siły wewnętrznej ani frazesy, ani represje, ani misterne wykresy sieci organizacyjnej, którymi prasa OZN-u świat zadziwiła.

— — — — — — — — — — — —

Wszystko zmierza do wniosku: nie parodjujmy procesów naturalnych życia organicznego przez nastrzykiwanie społeczeństwu idej koniunkturalnych, nie używajmy narodu do rozgrywek na tle kłopotliwych sytuacyj, aby naród z nami się jednoczył, lecz poprostu my się zjednoczmy z narodem w pracy nad wytworzeniem państwa narodowego. Niechaj nie marnują się żadne siły usiewne w narodzie — ani te dzieci szkolne, z których wyrastać mają obrońcy ojczyzny, ani entuzjazm bohaterski młodzieży i Skorupków, ani myśl ludzi przodujących społeczeństwu swym rozumem, ta myśl, która pozwoliła Polsce zrealizować marzenia o niepodległości i dalsze etapy walki o niezawisłość wskazała. Państwo, zbrojne tą siłą duchową, znajdzie sposób nie tylko obronności, ale i ekspansji.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„DYSTRYKT XIII”

Fakt buszowania w lasach państwowych i w innych „dystryktach” znacznej liczby podchowanych już, rodzimych masonów niepokoi opinię tembardziej, że ujawnione nazwiska i loże t. zw. „symboliczne” obejmują zaledwie trzy najniższe stopnie hierarchii wolnomularskiej.

Potrzeba utworzenia tutaj Najwyższej Rady Polski świadczy jednak, że istnieją u nas loże wyższego wtajemniczenia (od IV do XXXIII stopnia), ściśle zakonspirowane co do nazwy, lokalu i spisu członków. Ponad nimi są jeszcze zwierzchnicze loże Żydowskie ze stolicą w historycznym sercu Polski, Krakowie. Tutaj to zbiegają się nici, przy pomocy których szarlatani polityki umiejętnie wprawiają w ruch posłuszne marionetki wykazujące tak podejrzaną nieraz, a tak nieoczekiwaną dla otoczenia aktywność w różnych „sektorach” życia krajowego.

Walkę z plagą masonerii, jak z dżumą niegdyś, rozpocząć musi państwo pod presją narodu, od wydania ustawy, w której należenie do tej sekty, siedliska najwsteczniejszego obskurantyzmu, zwłaszcza u urzędnika na służbie państwowej, wojskowego, nauczyciela etc., zakwalifikowane będzie jako przestępstwo zdrady głównej (służba „obcym agenturom”) i jako takie — karane.

PAPANIN *REDIVIVUS*

Zmieniają się czasy i doktryny. Hitler wprowadza pojęcie „wieczystej substancji państwa”, jako ziemski, konkretny wyraz mistyki ojczyzny. *Führer* narodu niemieckiego bije w skompromitowany na wschodzie materializm dziejowy, a jeszcze bardziej, gdy stwierdza, że odrodzenie także i gospodarcze III Rzeszy rozpoczęło się od chwili obalenia mitu, iż przede wszystkim siły ekonomiczne decydują o narodowej prężności w dziejach. Dopiero odwoławszy się do tych wyższych kręgów życia, do zasobów duchowej energii, naród odnalazł sam siebie.

Wielka stąd i dla nas nauka. Tak jak znów tragikomedia rosyjska budzi w każdym nieuprzedzonym nietyle „strach i politowanie”, co wzgardę i odruch odrazy.

Ludzie bez ojczyzny. Takim jest Stalin sam i adherenci jego. Świeżo komunistyczny „*Internacjonał*” przytoczył jego mowę, gdzie powołując się na testament Lenina, który nigdy nie uważał Republiki Sowieckiej, jako celu samego w sobie, lecz jako niezbędne ogniwo dla stworzenia ruchu rewolucyjnego w państwie zachodu i wschodu, przyrzeka, że nie będzie żałował swego życia dla umocnienia i rozszerzenia Międzynarodówki komunistycznej, założonej przez „ojczulka Iljicza” na drugi dzień dyktatury proletariatu.

Tu więc są strzępy dramatu. Ale na lichą farsę wygląda, o czym przebąkiwano w prasie, rzekoma „tragedia” ekspedycji polarnej Papanina z towarzyszami triumfalnie z objęć „białej śmierci” przez sowieckie samoloty i łamacze lodów „wybawionymi”. Bezczelna propaganda bolszewicka nie przebiera w środkach reklamy. Jakże im wierzyć, gdy kiedyindziej symulują rosyjski patriotyzm, osiągając nierzadko przelotny *Stimmung* teatralny u odbiorcy.

NA MARGINESIE PRASY KATOLICKIEJ

W DNIACH 24 i 25 lutego, odbył się w Warszawie zjazd przedstawicieli prasy katolickiej. Szczegółowe sprawozdania z obrad czytaliśmy w dziennikach. Tutaj chcemy tylko dodać parę uwag niejako na marginesie referatu Ks. red. Kosibowicza z pierwszego dnia rozpraw, oraz referat Ks. prof. St. Wyszyńskiego, z drugiego dnia. Pierwszy temat był; „Kościół i prasa katolicka wobec aktualnych zagadnień chwili obecnej.” Drugi referat obejmował „Zagadnienia, wymagające zbadania w naukowej prasie katolickiej.“ Oba wywołały żywą dyskusję. Jej uczestnicy, tak duchowni, jak i świeccy, wychodząc z tych samych oczywiście, założeń nauki Kościoła, różnili się w poglądach na sprawy aktualne.

Zacznijmy od zagadnień, podsuwanych na warsztat prasie naukowej. Próba znalezienia „wspólnego języka“ z dzisiejszą filozofią świecką została podjęta na ostatnim zjeździe filozoficznym w Krakowie. Tu nawiasowa uwaga: prasa naukowa może rozwijać się wtedy, jeżeli jest dostateczna liczba pracujących twórczo uczonych i młodych adeptów nauki. Wtedy prasa odgrywa rolę łącznika między nimi i umożliwia trwałą dyskusję w formie dokumentów publicznych.

Szczytowi przedstawiciele nauk filozoficznych wspólny język mają i na zjeździe w Krakowie posługiwano się nim ku powszechnemu zadowoleniu. Tym językiem jest książka matematyczna, jedyna nauka ścisła z pośród wszelkich gałęzi filozofii. Jeżeli zaś chodzi np. o gnoseologię, metafizykę, etykę, psychologię i t. p, to sprawa jest nieco trudniejsza; spory różnych stanowisk zapewne dziś jeszcze się nie skończą. Wzory logiczne są, na pewne kryteria od biedy zgodziliby się wszyscy, ale odwieczną i wciąż jeszcze ożywioną dyskusję budzi sprawa „adekiwatności" metod i prawidłowego zastosowania kryteriów. Niejednego uczonego trzeba namawiać do pokory i do uznania kryterium autorytetu.

W dyskusji na zjeździe podniesiono potrzebę wprowadzenia do apologetyki argumentów, opartych na wiedzy przyrodniczej. Bardzo słusznie; trzeba się wciąż liczyć z postępem tej wiedzy. Może wreszcie przestaniemy boczyć się na odkrycia i teorie naukowe, dlatego tylko, że nam się wydaje, jakoby one nasuwały domniemania, rzekomo burzące tradycyjne rusztowania doktryny katolickiej. Posługiwanie się dorobkiem „najnowszych badań naukowych“ w apologetyce w sposób powierzchowny może mieć conajwyżej taką wartość, jak powoływanie się na przykłady „żarliwej wiary“ uczonych poza warsztatem nauki. Niestety apotogetyka katolicka spóźnia się nieraz wobec postępu wiedzy przyrodniczej. Kształcimy się na podręcznikach starych opartych jeszcze nu przyjęciu jednych, a odrzuceniu innych stron „klasycznego determinizmu w fizyce“, mechaniki Newtona i atonistycznej budowy materii. Było wtedy łatwe oparcie dla jednej z naczelnych zasad katolickiej teorji poznania, mianowicie dla przyczynowości. Ale za to z wolną wolą ludzie mieli spore kłopoty. Nie trzeba się było w apologetyce zbytnio wiązać z teorią fizykalną. Podręczniki dawniejsze nie liczą się z nowszym duchem krytycyzmu, który opanował wybitniejsze umysły i rozpowszechnił się wśród inteligencji. Uczmy się, przykładami historii upominania. Nie liczmy zbytnio na „zasadniczą nieokreśloność“ w budowie materii. Coprawda — nie wiele to zasadzie przyczynowości zaszkodzi, ale też nie wiele twórczej woli pomoże.

Raczej „duch czasu“ wymaga rewizji nie jednego dowodu tradycyjnej apotogetyki (szczególnie w podręcznikach licealnych), w świetle nowszej filozofii krytycznej przede wszystkim w zakresie teorii poznania.

*

Głównym przedmiotem katolickiej publicystyki winno być określenie w sposób niedwuznaczny i ścisły, (i trzymanie się tego określania we własnej praktyce) gdzie się kończy „*unitas*", a zaczyna „*libertas*“. Mamy tu na myśli programy, projekty i dążności tzw. społeczno-gospodarcze i polityczne.

Czy poza t. zw. chrześcijańskimi związkami zawodowymi i Stronnictwem Pracy zbawienie jest możliwe? A jeżeli te organizacje nie są warunkiem koniecznym do zbawienia duszy, a tylko są pomyślane w tym celu, ażeby ułatwiać ludziom postępowanie po drodze doskonałości moralnej, to w jakim stopniu to czynią i co w ich działalności daje gwarancję, że tak jest?

Olbrzymia większość katolicka narodu polskiego chciałaby wreszcie wiedzieć, w jakim stopniu obowiązują nas encykliki papieskie i pod jakimi formalnymi względami? Następnie — z jakich orzeczeń dogmatycznych Stolicy Apostolskiej wynika prawidłowo twierdzenie, że „totalizm“ jest sprzeczny z katolicyzmem? Po tym ustaleniu należałoby się zająć opracowaniem w ramach encyklik społecznych konkretnego programu dostosowanego do warunków i potrzeb społecznych.

Dalej czeka nas rozstrzygnięcie, czy Akcja Katolicka ma być jedynie udziałem wiernych w apostolstwie hierarchicznym Kościoła, czy też ma się z nią łączyć olbrzymi balast funkcyj drugorzędnych, jak obozy p. w. i w. f,, związki zawodowe, kluby sportowe młodzieży, konkursy ogrodnicze, rolnicze i t. p. A powtóre, czy Akcja Katolicka musi być schronieniem dla katolicyzujących polityków demokratyczno-liberalnych, którzy, z tych czy innych powodów nie mogą już sobie pozwolić na działalność jawną w stronnictwie politycznym? Kwestia jest doniosła, jeżeli się zważy, że podobni politycy „chrześcijańskiego“ centrum weszli gremialnie do organizacji Akcji Katolickiej w swoim czasie we Włoszech, a także i w Niemczech. Potem rachunki tych sublokatorów musiało płacić duchowieństwo, co nie wyszło naogół na dobre Kościołowi. A w związku z tym wysuwa się jeszcze jedna kwestia: czy taki charakter, a raczej takie użycie Akcji Katolickiej byłoby zgodne z intencjami Ojca Św.? Oczywiście, że nie. Wobec tego prasa katolicka, a zwłaszcza jej czołowi, wytrawni publicyści mają zadanie pouczać rzesze apostołów świeckich, posługując się m. inn. przykładem Niemiec i Włoch, co jest ich pierwszym obowiązkiem, a czego winni się wystrzegać, ażeby nie mieszać rzeczy świętych z — doczesnymi.

Tych spraw, związanych z Kościołem w Polsce, które wysuwa samo życie, które interesują coraz bardziej tysiączne rzesze działaczów katolickich, znalazło by się jeszcze sporo. Podajemy tu kilka — jeżeli może nie najważniejszych, to w każ-

dym razie uprzykrzonych, pilnych, wymagających rozstrzygnięcia dla oczyszczenia atmosfery i zjednoczenia wysiłków do najważniejszego dzieła.

Naostatek jeszcze jeden, powiedzmy, problemat dla prasy katolickiej — ażeby dopuszczać swobodę w rzeczach z natury wątpliwych i na wyższym poziomie dyskusji nie podejrzewać łatwo o herezję. Prośba ta dotyczy oczywiście tylko pewnej części publicystów katolickich, właśnie tych którzy zrośli się zbytnio z demo-liberalnymi pojęciami politycznymi ubiegającej doby.

VIR CATHOLICUS

NAUKA I LITERATURA

OPOWIADANIA SZLACHECKIE

Piotr Choynowski. „Opowiadania szlacheckie". W-wa 1937. Gebethner i Wolff. Str. 213.

Świeżo wyszły tom nowel, opatrzony „pochwałą twórczości Piotra Choynowskiego, mową Ferdynanda Goetla, wygłoszoną na uroczystym zebraniu Polskiej Akademii Literatury dn. 25.III.1936", przyozdobiony siedmioma drzeworytami oryginalnymi i winietami Stefana Mrożewskiego (w tym portret Choynowskiego), zawiera trzy opowiadania znane nam już ze zbioru „O pięciu panach Sulerzyckich". Prócz nich weszły tutaj jeszcze trzy rzeczy, po raz pierwszy w wydaniu książkowym drukowane.

Ferdynand Goetel w swojej „pochwale" wywiódł od Sienkiewicza naznaczoną piętnem szlacheckiego rycerstwa twórczość Choynowskiego. Kryje się w tym pewna nieścisłość: autorowi „opowiadań" brak romantycznej wizji sarmackiego baroku, co oddala go od Sienkiewicza, także i Kaczkowskiego, Chodźki, Rzewuskiego, a zbliża do atmosfery (abstrahujmy od artyzmu) „Dwóch panów Sieciechów" J. U. Niemcewicza, przełamującego w swych dziełach niesforny sarmatyzm poprzez nadarzającą się naówczas racjonalistyczną tresurę wewnętrzną.

Choynowskiego styl ujmowania zjawisk społecznych, w historycznej perspektywie widzianych, równie jak jego język trafnie i bez przesady oddający niewątpliwą polskość owej przełomowej epoki, w naleciałościach i sztucznej nadętości tonącej, bliskie są matematycznej ścisłości i dokładności, tak niezawodnie i pewnie formułujące. Z tego względu, z uwagi na wyjątkową oszczędność słowa, w sposób naturalny do rzeczy przylegającego, nie będziemy mieli na uwadze przy niniejszej lekturze gatunku gawędy, rozlewnej i lirycznej, ale raczej raptularzowe zapiski, robione przez głowę rodu latami, gwoli wyłącznie przedmiotowego stanu rzeczy zadokumentowania. Formalnie biorąc, opowiadania w zbiorze zaprezentowane mają charakter krótkich nowel z *pointą*, zawierających każda to, co w odniesieniu do gatunku bajki nazywamy „położeniem epigramatycznem", a więc zalążek dramatu; z rodzaju szczególnie dziś w literaturach zachodnich, zwłaszcza amerykańskiej, rozpowszechnionego.

Prócz pierwszorzędnej wagi kształtującego czynnika jakim jest dyscyplina języka i stylu, zawierają obrazki Choynowskiego także i głębszy sens dydaktyczny z przeszłości płynący. Oto w nowelach „Wigilia wojewody" i „O pięciu panach Sulerzyckich" pycha stanowa z egoizmem rodowym ożeniona zostają należycie prześwietlone. W obydwu wydarzeniach raz twarde *non possum* ubogiego pijara z komendy Konarskiego, kiedyindziej nieubłagany wyrok lubelskiego Trybunału kładą kres samowoli możnych. Zresztą i w „Kniaziu Kurbskim" napiętnowano dumę do zdrady wiodącą.

„Pańskie łzy", obrazek z ostatniej Jana Kazimierza przez kraj do Francji podróży, najsłabiej może ze wszystkich dramatycznie postawiony, liryczny raczej, idzie po linii sienkiewiczowskiego ujęcia królewskiego Wazów majestatu. Wreszcie „Magnackie swaty" i „Służba nie drużba": dwa obrazki z życia szlachty z XVIII w., tradycyjnie pańskiej klamki się wieszającej. W pierwszej z nich pewien, nieuchronny refleks sienkiewiczowskiego wzoru wiernego miłowania, narzuconego następcom w postaci nietrudnego schematu romantycznych losów Skrzetuskiego i Heleny.

W obrazie t. zw. sarmackiego baroku (w. XVII i XVIII) uderzają tutaj trafnie uwydatnione rysy epoki: szczera pobożność, której przecież nie zdołały zabić ani wstecznictwo szkół jezuickich z doby przed kasatą zakonu (r. 1773), i wcześniej, ani, rodem z Francji, i od Woltera oraz Encyklopedystów, libertynizm, co gorsza wśród wyższych sfer świeckich i duchownych sie panoszący, — dalej niekłamany afekt do szabli, co nie zdołała jednak nawet czasu saskiego opilstwa w pochwie zardzewieć. Wydaje mi się, że rzucając mroczny cień na tamten, jałowy zresztą okres naszych dziejów, nie możemy nie dostrzec promieni światła, które później rozgorzały dla przyszłych pokoleń, a pisarzowi współczesnemu pozwalają podjąć dla nas przekaz patriotycznej i moralno-religijnej, choć do cna przestrojonej tradycji szlacheckiej. (ST. J.)

RUCH WYDAWNICZY

Jerzy Hulewicz. „Szaruga". Powieść. Warszawa 1938. F. Hoesick.

Dotychczas zamiłowania artystyczne autora przejawiały się w założeniu i kierownictwie tygodnika „Zdrój", wydawanego w Poznaniu kosztem jego i jego brata, Witolda. Program tego pisma dążył do uprawiania czystej sztuki i zapoznawania czytelników z nowemi wartościami artystycznemi w literaturze i sztuce plastycznej, podobnie jak pisma Miriama „Chimera" i Przybyszewskiego „Życie", tyle że ze szczególnym uwzględnieniem nowatorstwa w zakresie formy. Wybitną cechą utworów Hulewicza był egzotyzm, odblask starożytnej literatury hinduskiej i jej mistyki.

Świeżo wydana powieść „Szaruga" ma za cel przedstawienie odcinka życia proletariatu Warszawy i nurtujących w nim idei. Napisana metodą realistyczną, o motywach jaskrawych, rozprawianie w imię liberalizmu z bieżącymi polskimi zagadnieniami społecznymi. Autor nie jest łaskaw na Kościół i nacjonalizm, jak to zresztą wypada kierownikowi literackiemu „Kuriera Porannego". Powieść napisana jest żywo i zajmująco, o wiele jednak ciekawszy był Jerzy Hulewicz dawniej, jako poeta fantastycznych wizji i symbolów. A. W.

NOWE KSIĄŻKI

Pigoń Stanisław. Zręby nowej Polski w publicystyce Wielkiej Emigracji. Warsz. 1938. Instytut Literacki. Str. 69.

Lepecki Mieczysław Mjr Maurycy August hr. Beniowski zdobywca Madagaskaru. Warszawa. 1938. Książn.-Atlas. Str. 212.

Tambs Erling. Teddy płynie przez dwa oceany. 30 ryc. i mapka. Warszawa, 1938. Książn. Atlas. Str. 226.

Spełnijmy śluby Jasnogórskie. Warszawa, 1937. Skład w księg. Prabucki i Płocha. Str. 165.

Zamojska Teka. Zesz. I. Zamość, 1938. Str. 64.

Maddalena L. — Zuber Stanisław. *Sulla geologia dei petroli albanesi.* Roma, 1937. (Z ilustr. i map.). Wyd. Min. Komunikacji.

Celarski Z. S. inż. Zabudowa osad na tle reformy rolnej. Z 96 ilustr. Warszawa, 1938. „Rolnictwo".

Turowski Grzegorz. Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej. Warszawa, 1938. „Gospod. Narod.". Skład w księg. Güntera. Str. 135.

Radwan J. inż. Zagadnienia scalenia gospodarstw wiejskich w Polsce. Warszawa, 1938. „Rolnictwo". Str. 32 i tabl.

Ostrowski F. inż. Inwestycje dla naprawienia obrotu rolnego. Warszawa, 1938. „Rolnictwo". Str. 58.

Orlikowski St. Aktualne zagadnienia kredytu rolnego. Warszawa, 1938. „Rolnictwo". Str. 42.

Z TEATRU

„BUNT ABSALONA“

(PRZED PREMIERĄ)

TEMAT do swej ostatniej sztuki, którą 4 marca wystawia Teatr Narodowy, zaczerpnął St. Miłaszewski ze Starego Testamentu. Nie wprowadził ani jednej ważniejszej osoby, nie zmyślił ani jednego faktu o większym dramatycznym znaczeniu.

Historia ułatwia wiele dramatopisarzowi, dostarczając mu gotowego tematu wątków, zdarzeń, postaci, — stworzonych kiedyś przez samo życie, które czasem wbrew opinii O. Wilde'a, bywa niezłym artystą. Ale też korzystanie z tego gotowego dramatycznego tworzywa ludzkości nastręczać może nie jedną trudność; trzeba umieć połączyć wierność historyczną z zasadami budowy sztuki, trzeba, nie naruszając zabardzo tego, co naprawdę było, przedstawić całą rzecz tak, żeby się podobała.

Ta niełatwa sztuka — wybór tematu i obróbka kawała historii na dzieło sceniczne, — udała się Miłaszewskiemu dobrze.

Ze stanowiska pragmatyzmu wydarzeń trzebaby zawartość dramatu podzielić na trzy części. Pierwsza to prehistoria dramatu, dawne zbrodnie Dawida, na skutek których nagromadził się ładunek gniewu Bożego. Ten gniew — to *spiritus movens* całej akcji. Wisi on nad sceną, jak chmura, uderza nieszczęściami w duszę Dawida, ażeby przepaliła się w pokucie i stała się godna łaski.

Bóg karze Dawida w jego potomstwie i w jego narodzie; trzeba jednak pamiętać o wolnej woli i o związku przyczynowym wydarzeń tego świata; zbrodnia ma swoje naturalne, daleko idące skutki. Przypominają się słowa Wyspiańskiego z „Wesela“: „wina ojca idzie w syna, niegodnych sywie niegodni”. Inna rzecz, że w „Buncie Absalona” ludzie jeszcze nie pojmują Boga po chrześcijańsku, ale po żydowsku, według Starego Zakonu.

To też nas wychowanych w poczuciu indywidualnej odpowiedzialności, razi, — że przekleństwo zbrodni pada na całe pokolenia, grzech jest niejako dziedziczny, a występki króla nie tylko, że odbijają się w nieszczęściach całego ludu, coby się jeszcze tłumaczyło politycznie, ale cały lud odpowiada za nie niejako moralnie przed Bogiem.

Tak było pojmowane działanie przekleństwa w bardzo silnie związanej społecznie duszy narodu żydowskiego.

Druga grupa faktów — to początek sztuki, dwie pierwsze odsłony. W budowie całości jest to niejako przybudówka, nie zaś zawiązanie akcji. Bo akcja między Amnonem, Tamarą i Absalonem wiąże się szybko, ale kończy się jeszcze szybciej, już w drugiej odsłonie — sponiewieraniem Tamary i zamordowaniem Amnona.

Ze sztuki nie wynika, że Absalon dla tego zabił brata, aby usunąć pierwszego spadkobiercę tronu. Przeciwnie — Absalon jest nabożny i o panowaniu zrazu nie myśli, a gdyby nawet myślał, o co go posądzają na dworze, to zabicie Amnona jest raczej dziełem gwałtownego impulsu zemsty. Jak się później dowiadujemy, to tylko zły duch księcia Achitofel, namawia go do buntu. Śmierć Amnona jest więc raczej rozcięciem węzła dramatycznego, usunięciem przeszkody. Niewiele się tu może widz spodziewać; teraz, pomyśli, zapewne, Absalonowi już gładko pójdzie; tron dostanie drogą sukcesji po śmierci ojca, a faktycznie może rządzić wcześniej, na co, jak się później okaże, istotnie się zanosiło.

Mamy w pierwszych obu odsłonach pokazane wszystkie ważniejsze osoby, są zarysowane namiętności i charaktery, sytuacje i konflikty, które się później rozwiną w dramat. Ale to, przy założeniu, że widz dalszego ciągu tej historii nie zna z Pisma św., daje mu tylko kompleks nieokreślonych przeżyć; nie daje mu poczucia konieczności jakichś większych wydarzeń, nie jest zawiązaniem akcji.

Cały konflikt „Buntu Absalona” nie ma głębokiego, dramatycznego uzasadnienia. Absalon nie ma dostatecznie silnego powodu, ażeby się buntować. Ambicje polityczne jego doradcy Achitofela także nie posiadają głębiej umotywowanego napięcia anty-Dawidowego. Nienawiść Michol? Owszem, ta nienawiść ma swoje podstawy i mogłaby być uczuciem budującym, oczywiście dla dramatu. Mogłaby, gdyby Absalon musiał wpływowi Michol ulegać. Ale cóż go, tak z życiowego punktu widzenia, mogła obchodzić stara czarownica, opętana od diabła, pierwsza, dziś opuszczona, żona króla Dawida? Absalon był podatny na satanizm i magię, ale to dopiero później, kiedy wypadki zaszły już daleko i doprowadziły go do zboczeń religijnych.

Nadbudowa metafizyczna nie podtrzymuje budowy dramatycznej. Istotnie, wszystko się mści, Dawid pokutuje ciężko i długo. Ale mechanizm dopustów Bożych, ich przebieg i postać dramatyczna, to jest zagadnienie kompozycji i wogóle artyzm.

Trzecią grupę faktów, objętych przedmiotem utworu, a drugą część dramatu — mamy po pięciu latach od końca II odsłony. Na dobrą sprawę możnaby cały dramat rozpocząć od III odsłony, a zdarzenia z pierwszej i drugiej przesunąć do prehistorii; ale być może, że wtedy zbyt wiele trzebaby dać informacyj retrospektywnych, co by mogło hamować akcję i zmniejszyć żywość widowiska.

Od odsłony IV wypadki postępują szybko, dramat chwyta tempo, nastrój potężnieje, dając poprostu wstrząsające momenty w odsłonie przedostatniej i końcowej.

Miłaszewski jest dziś najwybitniejszym dramatopisarzem w Polsce i talent jego przejawia w „Buncie Absalona” pełnię rozwoju. Potrafi jak nikt bodaj z żyjących poetów, koncentrować wielkie sprawy w soczewce sceny; widzi człowieka na tle materialnym, w środowisku, w działaniu; wyczuwa siły, które rządzą życiem, tworząc losy społeczności, historię rodzin i pokoleń. Ma głęboką chrześcijańską koncepcję świata, co go skłania do idealizmu dziejowego i podsyca w nim dynamiczne ujmowanie zjawisk. Ma wreszcie stylistyczny talent poetycki najwyższej klasy; dialogi w „Buncie Absalona” są potoczyste, zwarte, oszczędne i celowe; każde słowo jest znaczące i nabrzmiałe uczuciem. Rymy i asonanse świeże i dźwięczne.

Jeżeli inscenizacja, reżyseria i aktorzy sprostają poziomowi dramatu, będziemy mieli najwspanialsze widowisko tego sezonu w Warszawie.

TADEUSZ DWORAK

NA MARGINESIE

ZGORSZENIA

Poseł Dudziński zrobił wielką sprawę z powodu ujawnienia się sprężyn masońskich. W kołach politycznych uznano to wystąpienie jako niewłaściwość towarzyską w rodzaju tych, które popełnia dziecko, okrzykujące jakąś tajemnicę domową wszystkim zresztą znaną.

Niedyskrecje podobne psują zabawę. Bo to wygląda tak, jakby ktoś w teatrzyku marionetek złapał za rękę reżysera, który kukiełkami z ukrycia manewruje. Wiadomo przecież, że kukły same nie tańcują.

*

— Moi panowie, trzeba się zdecydować, którędy iść mamy — na prawo, na lewo, czy środkiem.

— To jest obojętne, którędy. Chodzi o to, żeby się nie spotkać z narodowcami.

— Odrazu mówiłem, że trzeba iść z żydami. Po co było głowę zawracać!

W SOWIETACH

GROŹBY STALINA

NIEDAWNO ogólne poruszenie wywołał list Stalina zapowiadający nawrót Z. S. S. R. do polityki ekspansywnego komunizmu.

O liście tym i zapowiedziach głośno na łamach prasy. Widmo rewolucji bolszewickiej znowu ukazało się na horyzoncie. Czy jednak rzeczywiście tak jest?

Nie sądzimy. Słowa dyktatora wypowiedziane w celach taktycznych miały cele inne.

Po pierwsze należało ratować opinję władz związkowych na terenie samej Rosji. Mit komunizmu podważony został i na wewnątrz państwa. Po cichu mówiono, iż Stalin czyni rozgrywki na tle osobistym, że zagubił wielką linię Lenina. Nie widziano celu inwestycji przemysłowych, stachanowskich metod budowania Z. S. S. R. Na zewnątrz same cofania się wstecz. Ustawiczne. Raz wraz zamiast czerwonych sztandarów, zakwitają narodowe, rewolucji „faszystowskich." O micie międzynarodowego państwa proletariackiego przestano wogóle już mówić. A więc Kreml musiał przemówić, usprawiedliwić terror, zapewnić, że jednak po dawnemu dąży się do pożaru światowego przewrotu.

Oświadczeniem swym Stalin ratował przede wszystkim swoją pozycję w kraju. A potem pozycję wśród komunistów całego świata, walka przecież Kremla ze „sługami faszyzmu, Japonii etc., etc." jest w gruncie rzeczy walką trzeciej międzynarodówki z czwartą, trockistowską.

Wiadomo, że atrakcyjność komunizmu na zewnątrz nikła, że odwracano się od niego, jak od największego ideowego fałszu, a coraz mniej liczne szeregi komunistyczne przejmował Trocki. Moskwa poczęła tracić ideowych zwolenników, ideowych swoich agentów a opiera się obecnie prawie już tylko na płatnych funkcjonarjuszach G. P. U.

Stalin więc i całą odwracającą się odeń uwagę zagranicy zapewnił, że jednak dla wyzwolin międzynarodowego proletarjatu pracuje...

Cały ten list nie jest tedy wcale żadnym przejawem wzmożonej dynamiki, ataku, ale obroną. Obroną dyktatora przed cichym ale powszechnym głosem opinii zarówno ludności Związku, jak i rzesz komunistycznych świata.

Czy za słowami stać będą istotnie czyny — przekonamy się wkrótce. W każdym razie należy być przygotowanym na usiłowania akcji. Niewątpliwie odczujemy je i na swoim polskim terenie. Czteromilionowe żydostwo gotowe jest w każdej chwili do pognębienia Polski. Tylko... do jakiej u licha należy dzisiaj ono międzynarodówki? Trzeciej czy czwartej? Moskwa nimi kieruje czy Trocki? A jeśli Trocki, to może agenci G. P. U. poczną pewnego dnia strzelać żydów lub ich porywać...

OKRUTNA PRAWDA

Z Sofii donoszą, że odbył się tam pogrzeb redaktorki dziennika emigranckiego „Gołos Rosiji" T. Sołoniewiczowej i jej sekretarza, poległych w zamachu, dokonanym przy pomocy bomby, doręczonej w przesyłce pocztowej. Ofiarą wybuchu stał się również syn Sołoniewiczowej, b. ciężko ranny.

Zemsta bolszewików na dawnej komunistce pracownicy *Inturist'a* w ZSSR, za jej obecne odstępstwo, a zwłaszcza za książkę „Pamiętniki tłumaczki *Inturista*" i ożywioną, antysowiecką działalność prasową oraz wydawniczą, nietylko pani Sołoniewiczowej ale i jej męża, Iwana, autora głośnej książki „Rosja w obozie koncentracyjnym" — stanowi pośrednio przyznanie się do zbrodni, zarzucanych w wymienionych publikacjach.

Słudzy Stalina, żydowscy okupanci współczesnej Rosji coraz częściej walczyć obecnie muszą z kompromitującą *regime* akcją uciekinierów z sowieckiego „raju". Akcja ta, zwłaszcza za granicą skutecznie paraliżuje komunistyczną propagandę, uprawianą przez wszystkie bez wyjątku placówki czekistowskie, zakwaterowane z reguły w gmachach bardzo oficjalnych...

Fakt, że ogromna większość „dyplomatów sowieckich" wzywanych do centrali — nie po co innego jak po śmierć i uprzednie storturowanie! — odmawia tego powrotu, kompromituje ciemiężców Rosji w sposób najwyższy. Urzędowa propaganda Kominternu często coprawda usiłuje zbagatelizować hiobowe wieści, płynące z doświadczalnych rosyjskich terenów wojującego komunizmu, pocieszając nas starą przypowiastką o strachu, co ma wielkie oczy. Nieraz też udaje się wytrawnych nawet ludzi w błąd wprowadzić. Ostatnie jednak dramatyczne przejścia Butenki, zbiega z sowieckiej ambasady w Bukareszcie, i jego, publikowane w Rzymie rewelacje rozwiewają wszelkie bałamutne opinie, krążące wokół tej sprawy:

Miejsce dawnych kapitalistów zajęła klasa burżuazyjna, złożona w stu procentach z Żydów. Wszyscy Żydzi, zamieszkujący Rosję, korzystają ze specjalnej opieki, którą roztacza nad nimi Łazarz Kaganowicz, zaufany doradca Stalina. Cała produkcja przemysłowa w Rosji Sowieckiej znajduje się w rękach Żydów, natomiast robotnik, będący igraszką rewolucji, otrzymuje zaledwie 400—500 rubli miesięcznie, podczas gdy zwyczajna para butów kosztuje 200—250 rubli, a danie w kuchni ludowej 6—8 rubli. Skromne ubranie musi nosić robotnik 5 do 7 lat. (Warsz. Dz. Nar., czw. 17-II-38)

Trudno Stalina (Gruzin Dżngaszwili) i jego żydowskich współpracowników posądzić o nacjonalizm rosyjski, raczej możnaby przypuścić istnienie jakiegoś specyficznego wallenrodyzmu, w pierwszym zaś rzędzie służbę żydowskiej międzynarodówce. Nacjonalizm rosyjski tkwi z całą pewnością głęboko w masach, ale nie dopuszczony do głosu, pozostaje dla nas wielkością nieznaną. Potęgą swą byłby jednak w stanie przeboleć nawet porażkę sowieckiego imperializmu wzamian za odrodzenie nacjonalistycznej i chrześcijańskiej Rosji historycznej.

Stalin w wymienionych na łamach „Prawdy" z Iwanowym listach nie wyrzeka się bynajmniej penetracji komunizmu do wewnątrz krajów europejskich, ponieważ w następstwie zwycięstwa socjalizmu w Rosji „jedynie zwycięstwo socjalizmu we wszystkich krajach definitywnie zabezpieczy Z. S. S. R. przed wszelką interwencją zagranicy". W tym samym celu Sowiety winny zabezpieczyć sobie „pomoc politycznej klasy robotniczej państw burżuazyjnych na wypadek wojny" oraz... zmobilizować całe społeczeństwo, armię, lotnictwo i marynarkę w gotowości do wojny.

Oświadczenie Stalina dostatecznie charakteryzuje apostolski typ komunistycznej agresywności Związku Sowieckiego, za zadanie mającej nie co innego, jak właśnie walkę z nacjonalizmami typu zachodnio-europejskiego.

TREŚĆ:

Polityka Narodowa, a społeczne wskazania Encyklik *Zofii Żółtowskiej Dąbrowskiej*.—Z dziejów 1918 roku *Stanisława Głąbińskiego*. — Z cyklu Polska na morzu *W. Huberta*. — Nauczyciele „wolności" *Jana Dobraczyńskiego*. — Horacy: Do okrętu *Józefa Birkenmajera*. — Na widowni *Zygmunta Wasilewskiego*. — Głosy — Na marginesie prasy katolickiej *Vir Catholicus*. — Nauka i literatura. — Ruch wydawniczy. Nowe książki. — Teatr *T. Dworaka*. — Na marginesie. W Sowietach.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.